

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 luty 2017, nr 9



Gmina w obiektywie

*„Ach, gdyby tak od razu, każdy zrozumieć mógł,
że lepsza droga bez drogowskazów, niż drogowskazy bez dróg”.*

Stanisław Jerzy Lec





32



42



20



28



26

Spis treści

6 Od Redakcji

...obiecaliśmy, że nie będziemy zajmowali się polityką, tylko poznawaniem mieszkańców naszej gminy i tego się trzymamy

7 Niejedno Kilimandżaro

...wszystko zaczęło się od snu. Przysnił się pewnego razu i już nigdy nie dał o sobie zapomnieć

13 Kołysanka, cicha kołysanka

...w tych kołysankach jest ciepło, miłość, troska, spokój. Jest w nich coś magicznego

18 Noc ognia

...dziesięć lat budowałem dom. Wystarczyła godzina, może dwie i wszystko poszło z dymem

20 Mistrz Laurent

...od chwili gdy malowałem na Montmartre, odwiedzałem paryskie galerie, Louvre, uzależniłem się od malarstwa

26 Pierwsze były trojaczki

...pod koniec stycznia, pewnej zimowej nocy przyszły na świat

28 Tu rządzi mama

...dzień pracy pani Stefani od 28 lat zaczynał się zawsze o pierwszej w nocy

32 Z Mrokowa za Wielką wodę

...wszystko jest ważne, ale najważniejszy jest dom i rodzina

37 Made in Poland

...ojciec i syn mają tę samą pasję. Mama tę pasję toleruje, choć łatwe to nie jest

42 Magia piłki nożnej

...zabawa i nauka. Nic na siłę. Takie jest założenie i taki cel Akademii Piłkarskiej

46 Gorąco w środku zimy

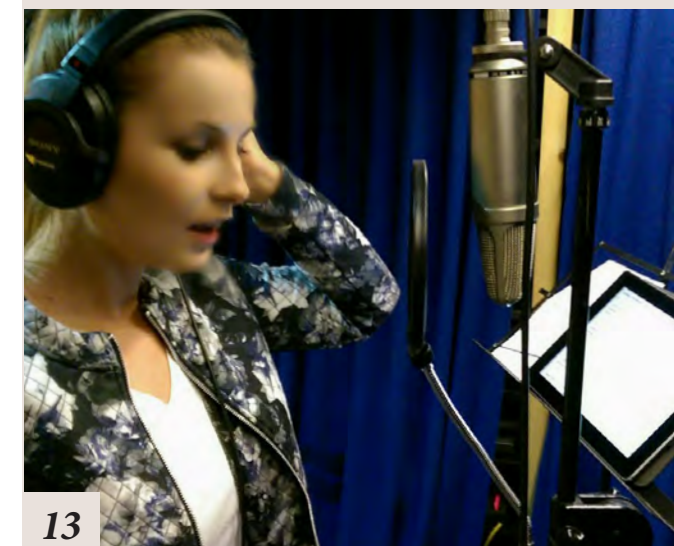
...wszyscy mają pewność, że w przyszłym roku ognisko znowu zapłonie

48 Czeko, czeko, czekolada

...dziewięć na dziesięć osób lubi czekoladę, przy czym ta dziesiąta zawsze kłamie



7



13



37



Od Redakcji

Zima na razie trzyma. Jakby tego było mało, mrozi mnie myśl, że nasza, podkreślę nasza, dobrze rozwijająca się gmina, może za chwilę przestać być naszą, samodzielną gminą, ale odpukuję w niemalowane i przechodzę do zawartości lutowego wydania „mojej Lesznowoli”.

Obiecaliśmy, że nie będziemy zajmowali się polityką, tylko poznawaniem mieszkańców naszej gminy i tego się trzymamy. W tym numerze opowieści o kolejnej grupie fantastycznych ludzi.

Zaczynamy od dramatycznej i optymistycznej jednocześnie opowieści o kobiecie, której pewnego dnia zawałił się świat. „Jeżeli coś nie idzie po mojemu, to znaczy, że Ten, co nad nami, przygotował nam lepszą drogę”. Takie ma życiowe motto bohaterka opowiadania. Polecam ten tekst szczególnie uwadze naszych Czytelniczek.

W lutowym wydaniu jeszcze o dwóch paniach z naszej gminy. Jedna wpadła na śmiały pomysł, by wydać własną płytę, a druga, by wziąć sobie na głowę piekarnię. Zapewniam, że jedna i druga historia jest ciekawa.

Teksty, których bohaterami są panowie z naszej gminy, pewnie Czytelników zaskoczą. Jeden opowiada drogę do sławy znanego mistrza fryzjerskiego, który uległ malarskiej pasji. Drugi o braciach, którzy dorobili się takiej marki, że ustawiają się do nich klienci z Nowego Jorku, Moskwy czy Wiednia.

Przedstawimy też ojca i syna, którzy są niezwykleymi kolekcjonerami i opowiemy o pasjonatach piłki nożnej.

Jako pierwsi pokazemy trojaczki, które przyszły na świat w naszej gminie.

Jak zwykle życzymy miłej lektury i czekamy na kolejne wskazania, kogo by chcieli Państwo poznać, o kim przeczytać.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

NIEJEDNO KILIMANDŻARO



Na Kilimandżaro idzie się powoli. Dla mojego organizmu to dobrze. Trzeba umieć oddychać, mieć motywację i mocną głowę. To nie jest ciężka, fizyczna wspinaczka. Nie musisz być alpinistą. Ale gdy do szczytu brakuje 130 metrów, stwierdzam, że wyżej nie idę. Dla siebie szczyt już zdobyłam.

fot. z archiwum prywatnego Małgorzaty Kurtyki-Kozioł



*...jeżeli coś nie idzie
po mojemu, to znaczy,
że Ten, co nad nami,
przygotował nam
lepszą drogę.*

To niewiarygodne, ale wszystko zaczęło się od snu. Przyśnił się pewnego razu i już nigdy nie dał o sobie zapomnieć. Takie sny czasami się zdarzają.

Był 2006 rok. Małgorzata Kurtyka-Koziół od ponad trzech lat mieszkała z rodziną w Stanach Zjednoczonych. Najpierw przyjechała tu sama na pół roku. Sprawdzić, zobaczyć... Zostawiła męża z czwórką dzieci w Polsce. Tak ustalili. Dzieci były małe, a mąż jako trener odnosił sukcesy w piłce ręcznej z juniorami. Lubił tę pracę. Miał to zostawić i jechać z dziećmi do żony?

Tęskniła, wróciła i... wyjechała ponownie. Do Chicago. Znowu sama, ale z konkretnym planem na przyszłość. Po dwóch miesiącach przyleciało dwóch starszych synów, a latem mąż z dwójką najmłodszych dzieci. Zaczęli rodzinne życie za Wielką Wodą. Uczyli się języka, pracowali, założyli firmę, z czasem kupili dom, dzieci poszły do szkół. Ułożyli sobie życie, poznali przyjaciół. Było naprawdę dobrze. Wtedy pani Małgorzacie przyśnił się sen.

Niezapomniany sen

– Przyśniła mi się moja przyjaciółka Wiesia, która rok wcześniej zmarła po dwunastu latach walki z rakiem. Znałyśmy się od dziecka. Przyszła do mnie, powiedziała, że mam natychmiast iść do lekarza, bo na prawej piersi, na godzinie pierwszej mam coś niebezpiecznego. Wiecie jak to jest ze snami. Człowiek się budzi, spieszy, by ubrać dzieci, zrobić śniadanie, wyszykować się do pracy, wpada w codzienny rytm i już o śnie nie pamięta. Tak było i tym razem. Obudziłam się i zapomniałam.

Mąż wyszedł do pracy, ja wyprowadziłam dzieci do szkoły. Natałka chodziła do pierwszej klasy. Do pracy chodziłam na 9.00, więc za piętnaście dziewięta łapię za klamkę, bo chcę wyjść i... jak obuchem w głowę. Wrócił sen.

Wrócił tak nagle i realistycznie, że natychmiast zdjęłam bluzkę, dotykałam palcami prawej piersi dokładnie w miejscu, które we śnie wskazała Wiesia, i zamarłam. Był guz. Duży i na dodatek się nie ruszał.

W takich sytuacjach świat wali się każdemu. Potrzebowałam trochę czasu. Zadzwoiłam do męża, a mąż, chcąc ratować sytuację i odczarować rzeczywistość, powiedział: „Nie martw się, wieczorem wymsuję i guz jak szybko się pojawił, tak szybko zniknie”. Jednak nie znikł. Trzeba było szybko reagować. Zadzwoiłam do koleżanki, znalazłam przychodnię, zrobiłam USG i mammografię. Już po pierwszych badaniach pani, która je robiła, uprzedziła mnie, że będzie telefon, żeby się nie martwić, bo lekarz powie, co dalej.

Myszę, że w tym wszystkim cudowne było to zapewnienie, że nie zostanę z tym sama. Że jak się do nich zgłoszę, to oni powiedzą, co dalej.

Wracając z badań oddzwoniłam do koleżanki, która dobijała się do mnie, gdy byłam na badaniach. Przekazała mi bardzo ważną informację: „Zidentyfikowałam telefon do dziewczyny, która w Chicago jest Amazonką, ona stworzyła klub, prowadzi sklep Zdrówko i do ciebie zadzwoni”. Zadzwoiła.

Spotkałyśmy się w jej sklepie i rozmawiałyśmy tak, jakbyśmy się znały całe życie, a przecież nigdy wcześniej się nie widziałyśmy.

„Nic się nie martw. Pójdę z tobą do szpitala, poznam cię z lekarką, pielęgniarką, z tym, z tamtym, ja znam wszystkich. Nie martw się, pomogę ci. Choć nie masz ubezpieczenia, to i tak cię będą leczyć, a potem będziesz się zamartwiać, jak zapłacić”. Nie muszę mówić, jakie znaczenie miała dla mnie wtedy ta rozmowa.

Życiowe motto

– „Jeżeli coś nie idzie po mojemu, to znaczy, że Ten, co nad nami, przygotował nam lepszą drogę”. Ta-

kie (jedno z kilku) jest moje życiowe motto. – Czy się sprawdza, miałam się o tym dopiero przekonać.

Lekarka, do której trafiła pani Małgorzata, była wspaniałym lekarzem. Takim, który wzbudza zaufanie. Takim, który mówi do pacjenta po imieniu, a pacjent wie, że to nie jest spoufalanie. Po biopsjach i dodatkowych badaniach pani doktor już wiedziała, co trzeba z guzem na piersi zrobić.

– Powiedziała mi, jak chce mnie leczyć, a ja mówię: „Nie. Nie zgadzam się”. I zaczynają się schody. Idę na konsultację do innego lekarza. On mówi to samo, co pani doktor, a ja powtarzam, że się nie zgadzam. Umawiam się na wizytę do polskiego lekarza. I znów to samo. Znowu mówię: „Nie”.

Ja chcę od razu „wyciąć całe to dziadostwo”, a lekarze przekonują, że jestem za młoda, że teraz z powodzeniem robią najpierw chemioterapię, a gdy guz zostaje zmniejszony, wykonują operację oszczędzającą, a następnie leczenie radioterapią. Ja czuję wyraźnie, że to nie moja droga. Czuję, że najważniejsze jest wyciąć. Nie damę za wygraną i proszę o operację. Pani doktor Elizabeth Markus poddaje się i wyznacza operację za dwa dni.

Operacja trwa kilka godzin. Dłużej, niż przewidywali lekarze. Po trzech tygodniach jest wynik histopatologiczny.

– Przychodzi moja pani doktor, klęka przede moją kozetką i pyta: „Skąd ty to wiedziałaś? – Ale co? – Że nie mogę ci zrobić chemioterapii. To niesamowite, że się tak upierałaś. Chemia by cię zabiła. Miałaś trzeciego raka. Myśmy go nie widzieli. Ten rak, nieduży, ale niebezpieczny, rozwijał się dużo wcześniej, był umieszczony pod tym dużym. Taki typ, który w połączeniu z chemią zabija.”

Od tego czasu zawsze jak z kimś rozmawiam na temat zdrowia, mówię: „Usłysz siebie. Zaufaj temu, co mówi twój organizm”. My naprawdę



dostajemy wiedzę, co powinniśmy ze swoim życiem zrobić.

Eksperyment

Po operacji padło pytanie: co dalej? Odpowiedź znów nie była prosta. Były przecież trzy rodzaje nowotworu, a każdy inny. Jaką chemię podać? Pani doktor przekazała, że jedynie tą najstarszą. Czy ona okaże się skuteczna? Takiej gwarancji żaden z lekarzy dać nie potrafił. Pani Małgorzata zdecydowała się na program, który był onkologicznym eksperymentem i któremu poddano 4800 osób z pięciu kontynentów. Program dzielił pacjentów na trzy grupy. Do każdej grupy według określonego programu pacjentów wybierał komputer.

– Chyba trafiłam do najtrudniejszej. Miałam chemioterapię co dwa tygodnie i zastrzyki przez dziesięć dni. Chemia była bardzo ciężka. Były też chwile załamania.

Pamiętam, że jak przyjechałam na szóstą chemioterapię, miałam bardzo złe wyniki. Nie miałam sił. Wszystko mnie bolało. Powiedziałam, żeby mnie już nie męczyli. Żeby mi dali spokój. Pozwolili spokojnie umrzeć. Doktor usiadł przy

mnie, wysłuchał i poprosił, by pielęgniarka przywiozła wózek. Byłam zaskoczona, a on powiedział: „Ja cię delikatnie przeniosę na ten wózek i pojedę z tobą na korytarz. Tam jest twój mąż. Spojrzysz na niego i to jemu powiesz, że już nie chcesz walczyć. Że poddajesz się. Chcesz umrzeć. Niech on pojedzie powiedzieć to waszym dzieciom”. Od razu we mnie siły wstąpiły.

Od tamtych wydarzeń minęło dziesięć lat. Pani Małgorzata jest po 9 operacjach i 8 eksperymentalnych sesjach chemii. Wie też, że jest posiadaczką genu BRCA1+. Te pozostałe operacje były wykonane profilaktycznie. – Rozważyłam propozycje i zdecydowałam, że tak będzie bezpieczniej.

Żeby opłacić leczenie, sprzedali dom, biznes i rodzina wróciła do Polski.

Powrót

– Te dwa pierwsze lata po powrocie to była jedna wielka tragedia. Moja własna. W środku, we mnie. Przyjeżdżam do Polski, jestem w swoim kraju, myślę sobie – powinnam złożyć dokumenty o rentę, ale ja chcę pracować, a tu nic i nawet zero pracy.

Godność ludzka została zdeptana. To były bardzo trudne dwa, trzy lata przyzwyczajania się do nowej rzeczywistości.

Jest 2012 rok. Pani Małgorzata jedzie na szkolenie dla Amazonek do Sierakowa pod Poznań. Tam dowiadyje się, że jest grupa kilkunastu Amazonek, które wybierają się na jedenastodniowy trekking wokół masywu Mont Blanc na wysokość 3–3,5 tys. m n.p.m.

– Pomyślałam: „Giewont kiedyś zaliczyłam, może bym poszła”. I poszłam.

Poszła, choć wiedziała, że koleżanki z grupy były po przygotowaniach na AWF-ie. Jej wyniki w porównaniu z resztą były ledwo dostateczne. Ale przecież nie chodziło o wynik. Chodziło o to, by pokazać, że mimo tego, co przeżyła, co przeszła, można normalnie funkcjonować. Żeby dać siły i wiarę tym, którzy są na początku drogi onkologicznej.

Kiedy udało się w Alpach, szefowa Fundacji „Pokonaj raka” złożyła jej kolejną ofertę. Wyprawę na Kilimandżaro.

– Dwie dziewczyny zostały wybrane. Była jeszcze Małgosia z Po-

znania, wytrenowana po AWF-ie z najlepszymi wynikami, i ja z najsłabszymi. Z dziewięciu osób zdrowych pięć osób nie weszło, a my chore dałyśmy radę. Chcę pokazać ludziom, że można robić rzeczy, o których się nawet nie marzyło.

Na Kilimandżaro idzie się powoli. Dla mojego organizmu to dobrze. Trzeba umieć oddychać, mieć motywację i mocną głowę. To nie jest ciężka, fizyczna wspinaczka. Nie musisz być alpinistą. Ale gdy do szczytu brakuje 130 metrów, stwierdzam, że wyżej nie idę. Dla siebie szczyt już zdobyłam. Co tam może być piękniejszego? Ale wracający ze szczytu tragarz, który niósł mi plecak mówi: „Chodź. Warto”. I choć dla siebie już weszłam, to dla tych ludzi, którym obiecałam, że zdobędę Kilimandżaro jeszcze nie. I poszliśmy.

Jak stałam na szczycie, to pomachałam do tych, którzy walczą i do tych, którym sił brakuje i do tych, którzy odeszli. Radość rozpieła moje serce, że stoję na tym dachu Afryki (5895 m n.p.m.), że zrobiłam to z solidarności z tymi, co są na początku walki, by wlać w ich serca wiarę. Z tymi, co stanęli na mojej drodze i byli mi wsparciem. Dobro, gdy dajemy, wraca ze zdwojoną siłą. Ja to czuję!

Potem było Camino. 800 km pieszo w 30 dni do Grobu św. Jakuba w Santiago de Compostela i Cabo Finisterre – niewielkiego przylądka w północno-zachodniej Hiszpanii. To był kolejny etap mojej misji „Idę, bo żyję – Amazonka w drodze”. Pokonałam złośliwe nowotwory, jestem w stanie pokonać wszystko.

*...jeżeli ja nie uwierzę,
to kto uwierzy, że wyzdrowieję.*

Klub Amazonek

Pani Małgorzata jest Prezesem Klubu Amazonki Powiatu Piaseczyńskiego z siedzibą w Mysiadle. Klub jest otwarty dla wszystkich osób onkologicznych i dla tych, którzy ich wspierają.

W ubiegłym roku ze swoimi Amazonkami wędrowała po Górach Świętokrzyskich. 9 czerwca w parku rozrywki Sabat Krajno wydarzyło się coś, co po raz kolejny utwierdziło ją w przekonaniu, że jej życiowe motto się sprawdza. To była chwila, kiedy noga ustawiła się jakoś dziwnie i nie dało się już uniknąć upadku.

– Zrobiło się zbiegowisko. Nie mogłam wstać. Tego dnia miałam jechać po dziecko do Hiszpanii. To miały być nasze wspólne wakacje. Córka po roku wracała do domu.



Ale Amazonki się uparli, żebym zrobiła prześwietlenie. Pojechaliśmy do Piaseczna. Kiedy pan doktor odczytał jego wynik, powiedział: „Dziewczyny, byłyście dzielne, ale tej pani już nigdzie nie zawiezicie”. Miałam złamane biodro.

Po pierwszej nocy na korytarzu, skoro świt w szpitalu był pierwszy obchód lekarski. Jeszcze spokojnie leżę, przychodzi pani wice-ordynator ze świtą i coś tam pod nosem szeptem. Ponieważ nie dosłyszałam, powtarza mi, a ja pytam, czy w mojej historii onkologicznej to nie jest zbyt obciążające leczenie. Wtedy pani doktor, trzymając już rękę na klamce do sali, mówi:

„Pani nic nie musi, pani ma raka. Pani pójdzie się leczyć do Centrum Onkologii”.

Cztery razy w swoim życiu słyszałam, że mam raka, ale w taki sposób nigdy. Czułam się, jak bym była cała złamana, nie tylko to biodro. Zrobiłam sobie Dzień Dziecka, żeby trochę popłakać. To miał być przerzut onkologiczny do kości. Dałam sobie czas. Musiałam się z tym oswoić. Ale ja już mam coś takiego, że jak sobie powiem tyle i nie więcej, to biorę się w garść. To się udaje.

A co z mottem „jeżeli coś nie idzie po mojemu, to znaczy, że Ten, co nad nami, przygotował nam lepszą drogę”? – Potwierdziło się. Nie pojechałam po dziecko, ale miałam dwa

miesiące leżenia. Organizm był tak wyczerpany, że nie byłam w stanie przeczytać ani jednej książki, choć miałam ich stertę. Ten czas był potrzebny, żeby znowu móc się podnieść.

– Pierwszy raz, kiedy dowiedziałam się, że mam raka, zadzwoniłam do mojej koleżanki notariuszki, żeby spisała mój testament. Spłakała się bardziej niż ja i powiedziała: „Nie ma takiej potrzeby, będziesz zdrowa”. A ja w jej głosie słyszałam, że ona w to absolutnie nie wierzy. Mówi tak, bo chce mi pomóc. I wtedy, po tym telefonie, pomyślałam: „Jeżeli ja nie uwierzę, to kto uwierzy, że wyzdrowieję. I co zrobiłam? Wzięłam się za siebie”.

Na pytanie, po co jej Klub Amazonek, pani Małgorzata odpowiada: – Po raku nie pielęgnujemy choroby, wspieramy się i obdarowujemy. Żyjemy inaczej, pełniej. Wychodzimy z własnego kokonu bezpieczeństwa, szerzymy profilaktykę i tym, którzy są na różnych etapach drogi onkologicznej, dajemy nadzieję.

I o to w tym wszystkim chodzi. O nadzieję. ■



fot. z archiwum prywatnego Anety Strzeszewskiej

Kotysanka, cicha kotysanka

Dobrze mieć babcię. I to niekoniecznie wtedy, gdy potrzebna jest babcina pomoc przy opiece nad wnukami. Przypadek, który przedstawiamy niżej, jest na to dowodem.



Siadając do pisania tego tekstu, zadaliśmy sobie pytanie, ile mam, ile babć, układając do snu swoje ukochane prawnuki i wnuki, śpiewa im kołysanki? Nie popełnimy chyba większego błędu twierdząc, że niewiele. Z czasów dzieciństwa w pamięci zostały nam strzępy kołysanek, które z pewnością, zależnie od imienia dziecka czy wnuczka, miały różne wersje. My znamy taką.

*Z popielnika na Jędrusia iskiereczka mruga,
chodź, opowiem ci bajeczkę, bajka będzie
długa.*

*Była sobie raz królowna, miała zamek
z masła, a w tym zamku same dziwy, cyt,
iskierka zgasta.*

Nie wiemy, czy tę kołysankę śpiewała babcia pani Anety Strzeszewskiej, ale że kołysanki śpiewała, wiemy na bank.

Zaczęło się w kościele

Pani Aneta, dziś mieszkanka naszej gminy, pochodzi z Radomia, z bardzo muzycznej rodziny. Wszyscy śpiewają i grają na różnych instrumentach. Ponieważ rodzina była z tradycjami muzycznymi, pierwsze drogi małej Anety prowadziły do kościoła św. Rafała Kalinowskiego, przy którym, jak przy wielu kościołach, była schola.

– Tam był fajny zespół muzyczny. Gitara, pianino i wiele śpiewających osób. Uczyłam się grać na gitarze i śpiewałam. Potem stwierdziłam, że to śpiewanie w przykościelnym zespole już mi nie wystarcza. Chciałam robić coś więcej. Trafiłam do Resursy Obywatelskiej. W resursie zaczęły się pierwsze występy na scenie i tam zauważyli mnie muzycy grający covery na weselach i imprezach okolicznościowych. Zaczęłam z nimi współpracować. Ale choć umiałam śpiewać i jak na swój wiek byłam dość zaawansowana wokalnie, to miałam spore braki w wykształceniu muzycznym. Chodziłam przecież do zwykłej szkoły podstawowej, potem do normalnego liceum ogólnokształcącego i swojej przyszłości z muzyką nie wiązałam.

Zdałam na studia pedagogiczne w Kielcach na wydział edukacji wczesnoszkolnej i przedszkolnej z terapią pedagogiczną. Chciałam uczyć dzieci.

To mnie bardzo kręciło. Myślałam też, żeby swoją muzyczną pasję jakoś w te zajęcia wpasować, ale to nie było na poważnie.

Na poważnie zaczęło się później. Kiedy wyszłam za mąż i kiedy zamieszkałam w Mysiadle.

Postanowiłam poszukać w Warszawie miejsca, gdzie będę mogła się uczyć i rozwijać swoją muzyczną pasję. Znalazłam Autorską Szkołę Muzyki Rozrywkowej i Jazzu I i II st. im. Krzysztofa Komedy w Warszawie. Fantastyczne miejsce, fantastyczni ludzie, fantastyczni nauczyciele.

Po 5 latach edukacji zdobyłam moje prawdziwe wykształcenie muzyczne. Stałam się wokalistką, dostałam dyplom i zaczęłam się zastanawiać, co z tym zrobić. Uczyć się, śpiewać, czy może komponować coś swojego, a może połączyć jedno i drugie. Podczas tych moich rozmyślań zrodził się pomysł.

W drodze po kołysanki

Kiedy Aneta zamieszkała w Mysiadle, często jeździła w rodzinne strony. W Radomiu mieszkała babcia Natalia, która prawnukom do snu śpiewała kołysanki. Kiedy do babci przyjeżdżała siostra Anety ze swoim małym Stasiem, a malec nie chciał zasnąć, babcia siadała przy łóżeczku i zaczynała śpiewać stare, ludowe kołysanki.

– Śmiałyśmy się z Basią z tych kołysanek, z ich dziwnych tekstów i dziwnych melodii. Ale śmiałyśmy się do czasu. Zrozumiałyśmy, że w tych kołysankach jest ciepło, miłość, troska, spokój. Że jest w nich coś magicznego. Coś nieprzemijającego.

Dlatego, kiedy pewnego dnia siostra powiedziała do mnie: „Wiesz, a może ty byś nagrała te babcine kołysanki?” – pomyślałam: „Ciekawy pomysł”. Zabrałam się do pracy i już na początku... niespodzianka. Babcia pamiętała tylko dwie kołysanki.

Co można zrobić z dwiema? Niewiele, ale można ruszyć w Polskę i zacząć szukać innych. Ludzie starsi z pewnością znają inne, warte odświeżenia teksty i melo-



die. Skoro te dwie były w pamięci babci Natalii, to w pamięci innych starszych będą inne. Postanowiłam szukać.

Ale jak szukać? Chodzić od domu do domu, pukać do drzwi i pytać? Tak się zaczęło. Na początku przepytałam wszystkie znajome i wszystkie babcie znajomych. Sukcesu nie było. Pomyślałam o domach spokojnej starości. Tam są osoby samotne, dla których spotkanie z kimś, kto chciałby coś od nich, jest formą pomocy. Chętnie się dzielą tym, co mają. Jakimś doświadczeniem, wiedzą.

To był dobry trop. Spotkania ze mną były dla mieszkańców domów spokojnej starości pewną formą rozrywki. Chętnie mnie przyjmowali. Pierwszym domem starości, jaki odwiedziłam, był Dom Artysty Weterana w Skolimowie. Przecudowna pani dyrektor Grażyna Grałek przyjęła mnie bardzo ciepło. Wysłuchała i nim przyjechałam na spotkanie, wypytała wszystkich swoich seniorów, kto co pamięta. Od razu mnie kierowała do tych pań, które mogą mi coś zaśpiewać. Pierwszą kołysankę dostałam od pani dyrektor, która zadzwoniła do swojej mamy i jej mama przez telefon śpiewała mi kołysankę wojenną. Miałam więc trzy kołysanki. Dwie babci Natalii i trzecią – mamy pani dyrektor Grałek. To był początek.

Potem jeździłam po Polsce i szukałam dalej. Zaczęłam ludzi: „Przepraszam, czy pani nie zna jakiejś kołysanki?” – pytałam i udawało się.

Wyznaczałam sobie cel. Miasto i jeden, dwa domy spokojnej starości, które zamierzałam odwiedzić. Dzwono-

niłam do dyrekcji i umawiałam się na spotkania. Od pokoju do pokoju odwiedzałam ludzi. Tym spotkaniom towarzyszyły bardzo skrajne emocje. Było dużo śmiechu, ale były i łzy. Ludzie schorowani, niektórzy z demencją czasem myśleli, że odwiedziła ich dawno niewidziana córka czy wnuczka.

Jedną z kołysanek zdobyłam w całkiem nieoczekiwanych okolicznościach. Byliśmy z mężem na pogrzebie taty mojej koleżanki koło Radomia i tam, podczas modlitwy nad grobem, usłyszałam czysty, mocny głos starszej pani. Odwróciłam się. Stoi wiejska kobieta kilka grobów dalej i prowadzi muzycznie cały pogrzeb. Śpiewa najgłośniejsz ze wszystkich i śpiewa pięknie.

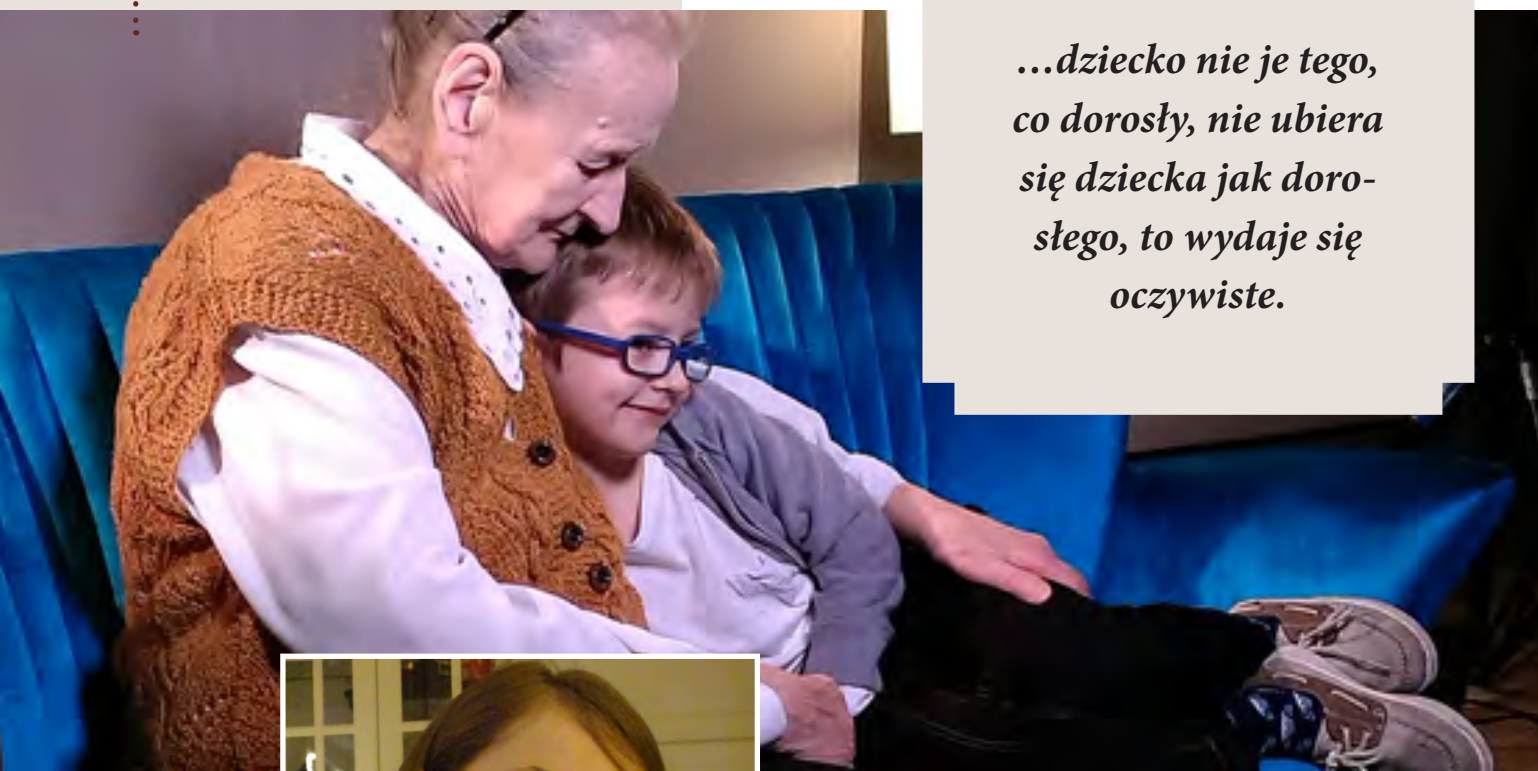
Podeszłam, zapytałam. Okazało się, że była to miejscowa śpiewaczka pani Krystyna Kołtun, która na stare lata postanowiła odgrzebać swoje pasje. Pisze piosenki, zapisuje, wymyśla melodie. Zaśpiewała mi jedną kołysankę ze swojego dzieciństwa.

Kołysanki zbierałam w różnych miejscach. Byłam w Poznaniu, we Wrocławiu, w Rzeszowie, w Gdańsku, Radomiu. Czasem nie przywoziłam z tych podróży nic. Bywało tak, że w jednym domu starości uzyskałam jedną zwrotkę, a w innym drugą. Sklejałam, łączyłam.

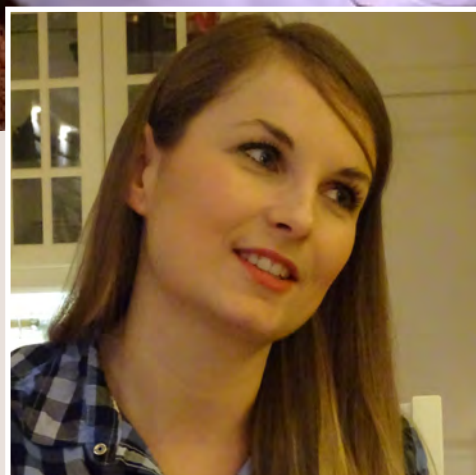
Potem, szukając autorów, szukałam wiadomości w literaturze. Bardzo mało jest wzmianek. Oprócz jednej płyty wydanej przez Polskie Radio nie ma tego nigdzie.

Udało mi się znaleźć około trzydziestu kołysanek. Kiedyś pisało się inaczej. Kobiety same układały koły-

*...to, że dziecko śpiewa piosenki dla dorosłych,
jakoś zastrzeżeń nie budzi.*



...dziecko nie je tego,
co dorośli, nie ubiera
się dziecka jak doro-
słego, to wydaje się
oczywiste.



sanki i były one przekazywane z pokolenia na pokolenie. W wielu znajduje się „Luli, luli laj”, „Lulaj, że lulaj”. Większość jest dedykowana synkowi. Widocznie córeczki łatwiej zasypiały.

Jeżdżąc po domach spokojnej starości i nagrywając piosenki, zebrałam materiał na płytę.

Kołysanki niedzisiejsze

– Żeby wydać płytę, trzeba mieć pieniądze.

Ja ich nie miałam, ale dowiedziałam się, że pieniądze można zdobyć. Że jest coś takiego jak crowdfunding, czyli zbieranie pieniędzy przez stronę internetową. Platforma nazywa się „Polak potrafi”. Zapisalam się i zbierałam pieniądze przez trzy miesiące. Przez trzy miesiące zebrałam 10 tysięcy. Większość darczyńców to osoby nieznanne. Gdyby nie oni, nie miałabym funduszy na rozpoczęcie prac.

Na płycie znalazło się dwanaście utworów. Jest też bajka ludowa. Babcia Natałka, która zainspirowała mnie do tego projektu, ma nie tylko swoje miejsce na tej płycie, ale stała się też twarzą projektu pt. *Szeptam. Kołysanki Niedzisiejsze*.

Wiele osób muzycznie zaangażowało się w ten projekt. Ja, poza śpiewem, zajmowałam się tekstami. Pierwszej aranżacji na tej płycie kołysanki *La lu laj* (kołysanki wojennej) dokonał Zdzisław Kalinowski, bardzo dobry muzyk. Kołysankę *Synku* wykonał Wiktor Tatarek, gitarzysta, fantastyczny aranżer, resztą aranżacji zajął się Kacper Zasada, kontrabasista, współproducent płyty. Zastanawialiśmy się z Kacprem, jak zrobić płytę, żeby była dla dzieci i... nie do końca dla dzieci. I ta płyta

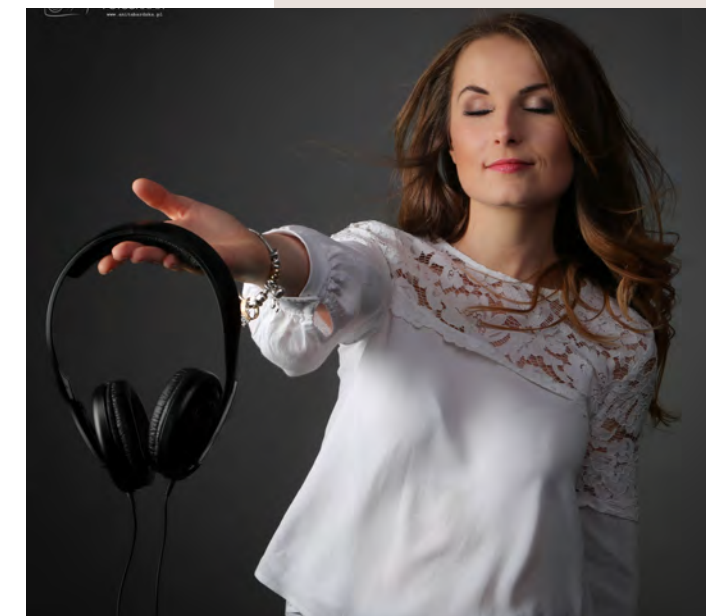


taka jest. Może ukołysać maluchy, ale może też uspokoić rodziców.

Dzieci moich znajomych, dzieci, które uczę w „Szko-le marzeń”, w wieku 6-9 lat znają wszystkie polskie hity, ale nie znają piosenek dla dzieci. Ja wychowałam się na piosenkach Majki Jeżowskiej i piosenkach zespołu Faselki. Moja mama miała gramofon i słuchała Eleni, ale mnie kupowano Tęczowy Music Box i Gawędę. Wychowałam się na dobrej muzyce dla dzieci. Dziś dzieci najmłodsze pytają, czy nie mam czegoś dla dorosłych. Śpiewają Rihannę, Beyonce i rodzice się cieszą. Fajnie, że dzieci potrafią to śpiewać, ale treści nie są dla nich. Kiedy w szkole pytam się dziecka, co by chciało śpiewać, ono mówi: Adele.

Dziecko nie je tego, co dorośli, nie ubiera się dziecka jak dorosłego i tego rodzice przestrzegają, to wydaje im się oczywiste. A to, że dziecko słucha dorosłego repertuaru i śpiewa piosenki dla dorosłych, jakoś zastrzeżeń nie budzi. Często myślę o tym, pracując z dziećmi.

Dlatego odszukałam i nagrałam *Kołysanki Niedzisiejsze*. Po wydaniu albumu oficjalny patronat nad płytą objął Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak. To upewniło mnie, że kierunek poszukiwań był słuszny. ■



fot. Anita Bardzka

Noc. ognia

Dziesięć lat budowali dom. Tak niewiele zostało do końca. Pan Janusz lubił usiąść wieczorem w fotelu i zdrzemnąć się przy kominku. W poniedziałek, dziewiątego stycznia też usiadł, dołożył drzewa do kominka, popatrzył na ogień. Nie bardzo chciało się palić.

W poniedziałek wieczorem Janusz Kamiński wrócił do domu trochę zmęczony. W hali zespołu szkół publicznych w Łazach grał w piłkę nożną. Grają zimą z kolegami towarzyskie spotkania. W sezonie gra w oldbojach Klubu Sportowego Walka Kosów, a zimą, by nie stracić formy, bawią się na hali. Zaczęli około dwudziestej, skończyli około dwudziestej drugiej.

Spieszył się do domu, bo jeszcze musiał odwiedzić żonę do Warszawy. Żona jest pracownikiem naukowo dydaktycznym na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Wrócił, coś zjadł, dołożył do kominka, sprawdził czy kotka jest w domu i usiadł w fotelu przed kominkiem. Był naprawdę zmęczony. Zauważył, że w kominku coś słabo się pali. Uchylił drzwiczki, by dodać więcej powietrza, zapatrzył na ogień i przysnął. Obudził się po godzinie, zamknął drzwiczki od kominka, umył się i poszedł spać.

Około czwartej w nocy zbudził go dziwny hałas.

– Spojrzałem w okno i zobaczyłem odbijający się na drzewach blask ognia. Z sufitu coś zaczęło spadać. Wyskoczyłem z łóżka. Całe poddasze paliło się już na dobre. Ogień strzelał spod blachy płomieniami, trzaskały palące się belki, spadała podsufitka.

Zadzwoiłem po straż pożarną. W pokoju przed kominkiem paliło się wszystko. Fotel, w którym siedziałem wieczorem, narożnik. Wszystko. Zdążyłem wyciągnąć wieszak z ubraniami i już nie dało się drugi raz wejść do mieszkania. Taka była temperatura. Zapaliły się w kominie sadze, choć we wrześniu komin był czyszczony, a od nich zapaliło się poddasze. Na szczęście nie było w domu córek i żony.

Straż przyjechała bardzo szybko. Przyjechał zawiadomiony przez straż sołtys Stefanowa Zenon Wójcik. Nie było już co ratować.

– Nie potrafię opowiedzieć, jakie to jest uczucie i co się z człowiekiem dzieje. Dziesięć lat budowałem dom, jeszcze nie skończyłem i wystarczyła godzina, może dwie, i wszystko poszło z dymem... Kotka schowała się gdzieś w domu i jakimś cudem ten pożar przeżyła.

Żonę zawiadomiły sąsiadki. Zobaczyły, że przed domem stoi samochód córki i myślały, że była ze mną w domu i że coś tragicznego się stało. Przyjechała natychmiast. Cieszyła się, że nic mi się nie stało. Córka młodsza, ta, która z nami mieszka, bardzo płakała.

Sołtysa Stefanowa Zenona Wójcika telefon wyrwał z głębokiego snu o piątej rano. To dzwonił dyżurny straży pożarnej.

– Na Malinowej 11 jest pożar – powiedział. – Ubrałem się szybko i pojechałem na Malinową.

Sześć jednostek straży pożarnej było na miejscu. Piętnaście stopni mrozu. Płomienie ognia. Z sąsiedniego domu, w bezpośredniej bliskości z pożarem najemca pośpiesznie wnosi maszyny drukarskie. Ulica Malinowa zalana wodą. Marznie. Jeśli ktoś na tym lodowisku wpadnie w poślizg, będziemy mieli kolejne nieszczęście,



pomyślałem. Zatelefonowałem po piaskarkę. Natychmiast przyjechali. Posypali piaskiem Malinową, Graniczną i Uroczą.

Z właścicielem palącego się domu nie było rozmowy. Był w szoku. Załamany, płakał. Przyjechała też żona pana Kamińskiego, ale z nią nie rozmawiałem.

Zapytałem, w czym mogę pomóc. Mieli kłopot z przerażonymi psami. Zadzwoiłem do jednego, drugiego schroniska. Nikt nie chciał przyjąć psów. Wszędzie były problemy. Wreszcie zadzwoniłem do Izabelli Popławskiej, która w Stefanowie prowadzi prywatny hotel dla psów. – Jest miejsce dla wielu, to i dla tych nieszczęśników się znajdzie – powiedziała.

– Kamień mi z serca spadł, bo to takie mądre i sympatyczne pieski. Pojechały do bezpiecznego hotelu.

Wszedłem do środka budynku. Widok przerażający. Rano zadzwoniłem do Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej. Zastanawialiśmy się, jak i w jakiej formie możemy rodzinie Kamińskich udzielić pomocy. Kolejnego dnia przyjechali na pogorzelsko zastępca wójta Karolina Pichnej i podinspektor Rafał Suwała. Ustalono zakres pomocy. Kto co robi.

Skontaktowałem się też z Darkiem Kwiatkowskim, radnym z naszego sołectwa, który ma ekipy budowlane, i on też ofiarował się z pomocą. Od wtorku 30 stycznia przystąpiono do odbudowy spalonego domu. ■

MISTRZ LAURENT

Taki scenariusz może napisać tylko życie. Antoine, fryzjer o światowej sławie, naprawdę nazywał się Antoni Cierplikowski i pochodził z Sieradza, z niezamożnej rodziny szewskiej. Fryzjerstwa uczył go wuj, który miał mały zakład fryzjerski. W 1901 roku Antoni wyjechał do Paryża, by uczyć się fryzjerstwa.

Laurent, fryzjer o światowej sławie, naprawdę nazywa się Zdzisław Gasperowicz i pochodzi z niezamożnej litewskiej rodziny. Fryzjerstwa uczył go ojciec. W 1962 roku Zdzisław wyjechał do Paryża. Do Antoine'a. Uczyć się fryzjerstwa.



moja Lesznowola

Mając lat dwadzieścia jeden wyjechał do Paryża, by uczyć się u sławnego Antoine'a. Mistrza zwanego „królem fryzjerów” i „fryzjerem królów”. Do Polski wrócił w 1972 roku jako Laurent. Dwa lata później otworzył w Warszawie swój pierwszy salon fryzjerski i cała modna Warszawa ustawiła się w kolejce.

Nowy Świat

Zacznijmy wszystko od początku. Zdzisław Gasperowicz urodził się na Wileńszczyźnie. Miał trzy, a może cztery lata, kiedy ojciec w 1945 roku wrócił spod Berlina, spakował rodzinę i wywiózł z Litwy pod Jelenią Górę. Do Cieplić.

Tam Zdzisław spędził dzieciństwo, dorastał i kiedy dorósł do lat szesnastu, wyjechał z Cieplić do wuja w Warszawie.

Chciał się uczyć fryzjerstwa, ale nie takiego, jakie wykonywał ojciec. Chciał być wizjonerem. Stylistą, który potrafi pokazać klientce, co można z włosami zrobić, aby fryzura była zachwycająca, dostosowana do charakteru człowieka, kształtu twarzy, głowy, wieku.

Zatrudnił się w Spółdzielni Pracy Fryzjerów „Współpraca” i uczył się

fachu. Zdobył uprawnienia czeladnicze. Jako czeladnik zaczął pracować w prywatnym zakładzie fryzjerskim Winkowskiego. Zarabiał na czynsz, utrzymanie i inwestował w edukację.

Wynajął mieszkanie na Nowym Świecie i zaczął, jak to się dawniej mówiło, pobierać lekcje. Do mieszkania na Nowym Świecie przychodził profesor z pobliskiej Akademii Sztuk Pięknych i dawał Zdzisławowi lekcje rysunku i malarstwa. Z czasem malarstwo stawało się życiową pasją młodego czeladnika.

Rysował pięknie i nowoczesnie u fryzowane głowy pań i panów, malował pejzaże, a że był czeladnikiem zdolnym, to panie chętnie siadały na fryzjerskim fotelu obsługiwanym przez młodego stylistę. Jeśli mówiły, że chciałyby mieć na głowie loczki, mogły już dzięki rysunkom

Zdzisława pokazać, jakie te loczki mają być.

Przyszł rok 1962 i Zdzisław Gasperowicz wziął udział w międzynarodowym konkursie fryzjerskim organizowanym w Warszawie. Na ten konkurs przyjechał prezydent Francuskiej Federacji Fryzjerskiej – Fernand Daros. To był przełomowy moment w życiu młodego czeladnika. Zdobył drugą nagrodę i został zaproszony do Francji.

– Sam nie wiem, czy byłem tak dobry, że francuski mistrz fryzjerstwa Fernand Daros postanowił dać szansę młodemu Polakowi, czy zaprosił mnie przez kurtuazję, licząc na to, że mnie władza do Francji nie puści... Tego się nigdy nie dowiem.

Jeszcze w tym samym roku pojechałem do Paryża. Muszę powiedzieć, że mój dobroczyńca był

*...czesał najpiękniejsze modelki Diora,
Givenchy'ego i Yves Sain Laurenta.*

zaskoczony, gdy zjawiłem się któregoś dnia w jego salonie, ale to jemu zawdzięczam dalszy rozwój mojej kariery.

Załatwił mi pracę u najlepszego fryzjera nie tylko we Francji. Mając zaledwie dwadzieścia jeden lat, dostałem się do Antoine'a. Polak przyjął Polaka z otwartymi ramionami. Uczyłem się od mistrza.

Pewnego dnia, podczas kolacji u wielkiego mistrza Antoine'a w jego mieszkaniu na Trocadero spotkałem Alexandra, ucznia Antoine'a, który zaproponował mi staż w swoim salonie na Faubourg Saint Honore.

Potem na kilka miesięcy w ramach współpracy Alexandra z salonem duńskiego fryzjera Hermansena wyjechałem na praktykę do Danii.

U Alexandra pracowałem i uczyłem się cztery lata. Nie tylko fryzjerstwa. Korzystając z bliskości Louvre'u, rozwijałem swoją pasję malarską. Chodziłem na otwarte zajęcia z rysunku i malarstwa. Chciałem być profesjonalnym malarzem.

Wkrótce, by zarobić na utrzymanie, sprzedawałem swoje dzieła w paryskich galeriach i malowałem na Montmartre. Rysowałem też fryzury dla Francuskiej Federacji Fryzjerskiej.

Kiedy zaczynałem pracować u Alexandra, ogromną trudność sprawiało szefowi, kolegom i klientom wypowiedzenie mojego imienia – Zdzisław. Łamali sobie język, aż któregoś dnia szef zdecydował, że muszę mieć imię łatwe do wymówienia. W salonie byli już Jean-Claude, Jean-Pierre – dostałem imię Laurent.

Klienci od tego dnia przychodzili do salonu Alexandra i nad ich fryzurami pracował już nie Zdzisław, lecz Laurent.

Paryż, miasto miłości

Panie nie były łatwymi klientkami. Każda chciała być piękna, jedyna, mieć fryzurę, jakiej nie będzie miała inna. Laurent miał ogromne wzięcie. Młody, przystojny, uprzejmy i do tego zdolny. Do Laurenta ustawiała się więc kolejka pań. Bogatych i pięknych. Czesał najpiękniejsze modelki Diora, Givenchy'ego i Yves Sain Laurenta. Chodził do teatru czesać aktorki, między innymi francuską gwiazdę Mylène Demongeot. Mógł czesać wspaniałą hollywoodzką aktorkę Elyzabeth Taylor i światowej sławy śpiewaczkę operową Marię Callas.

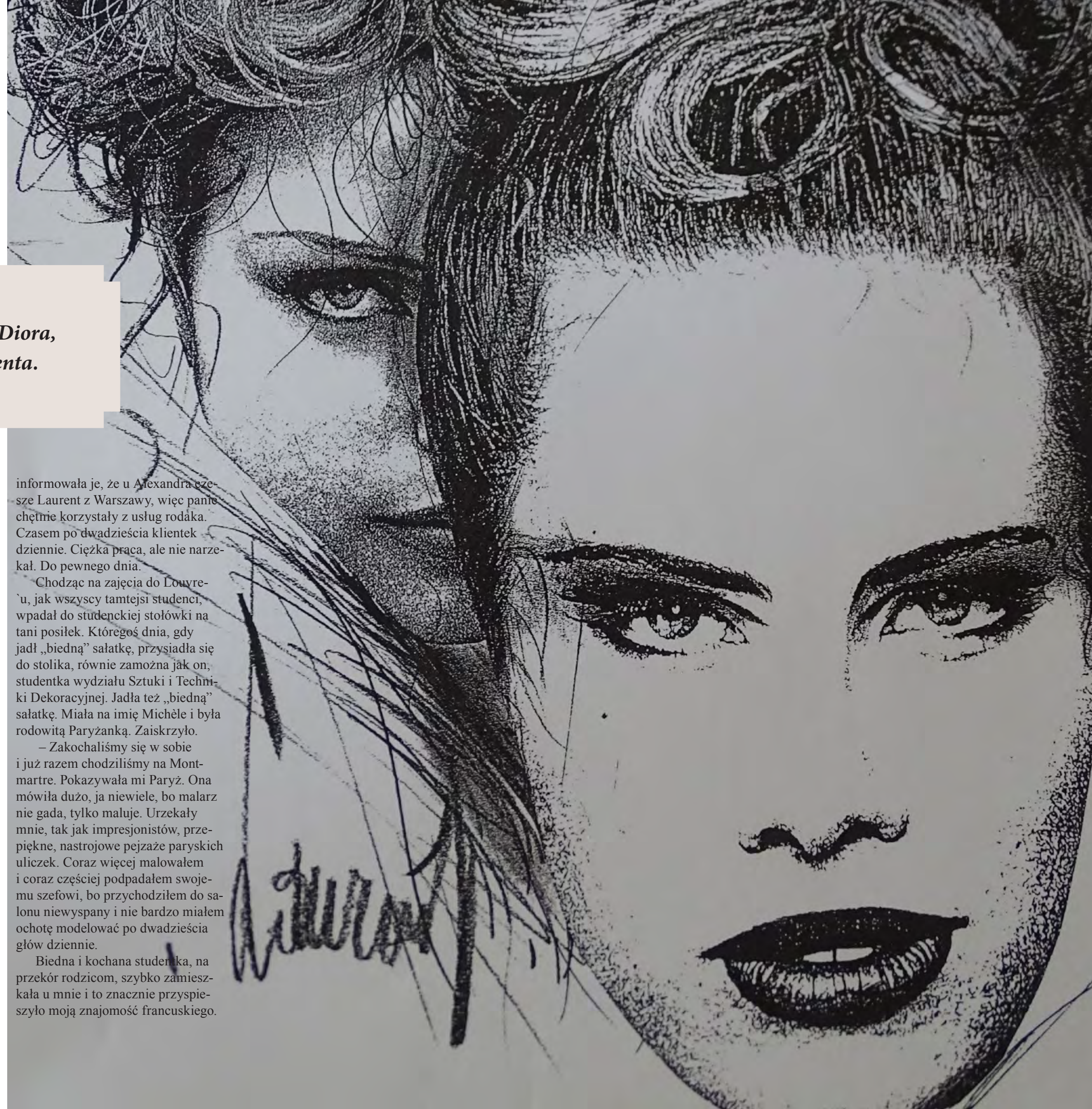
Kiedy przychodziły Polki, będące w Paryżu, recepcjonistka

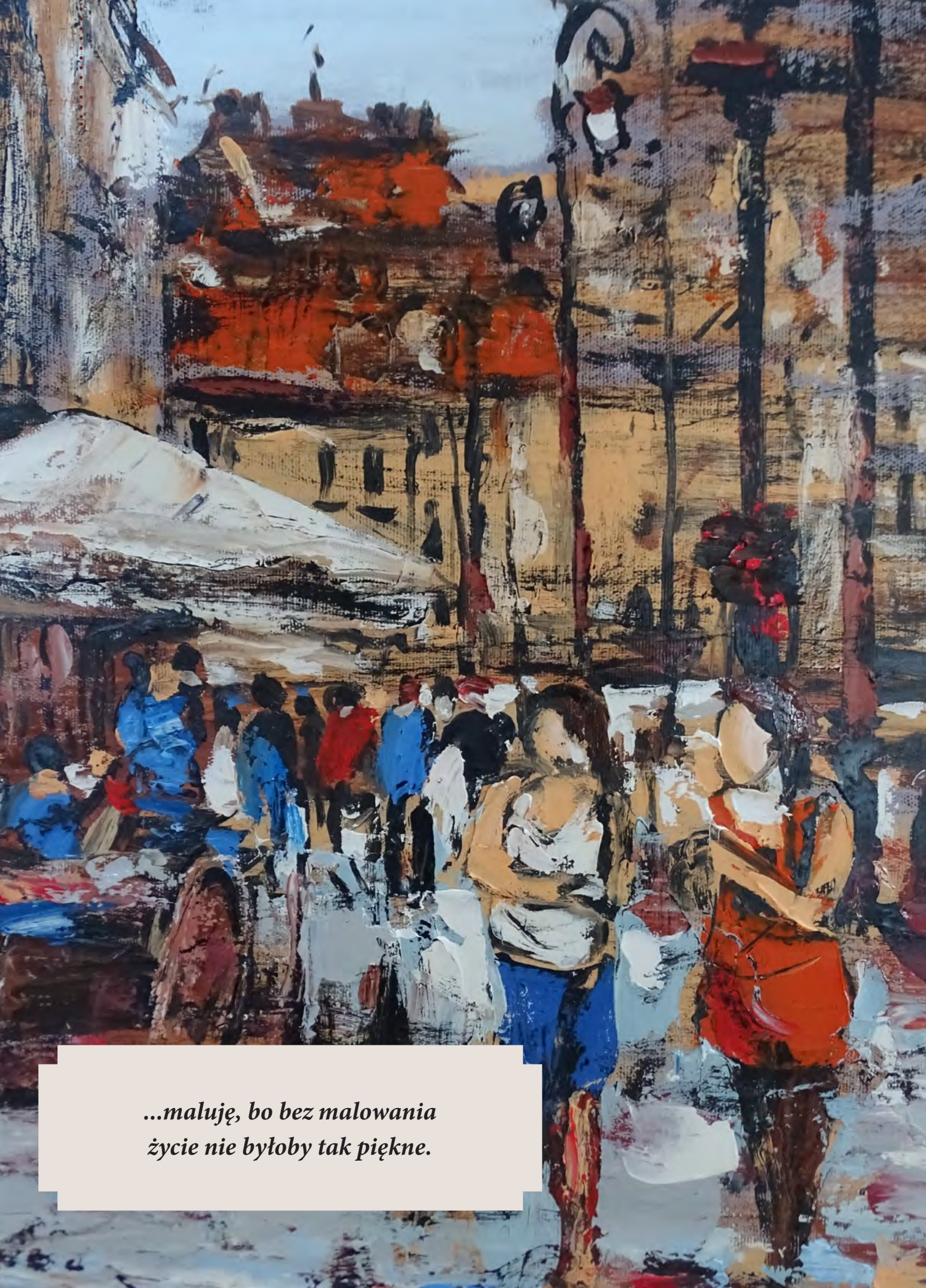
informowała je, że u Alexandra czesze Laurent z Warszawy, więc panie chętnie korzystały z usług rodaka. Czasem po dwadzieścia klientek dziennie. Ciężka praca, ale nie narzekał. Do pewnego dnia.

Chodząc na zajęcia do Louvre'u, jak wszyscy tamtejsi studenci, wpadał do studenckiej stołówki na tani posiłek. Któregoś dnia, gdy jadł „biedną” sałatkę, przysiadła się do stolika, równie zamożna jak on, studentka wydziału Sztuki i Techniki Dekoracyjnej. Jadła też „biedną” sałatkę. Miała na imię Michèle i była rodowitą Paryżanką. Zaiskrzyło.

– Zakochaliśmy się w sobie i już razem chodziliśmy na Montmartre. Pokazywała mi Paryż. Ona mówiła dużo, ja niewiele, bo malarz nie gada, tylko maluje. Urzekła mnie, tak jak impresjonistów, przepiękne, nastrojowe pejzaże paryskich uliczek. Coraz więcej malowałem i coraz częściej podpadałem swojemu szefowi, bo przychodziłem do salonu niewyspany i nie bardzo miałem ochotę modelować po dwadzieścia głów dziennie.

Biedna i kochana studentka, na przekór rodzicom, szybko zamieszkała u mnie i to znacznie przyspieszyło moją znajomość francuskiego.





*...maluję, bo bez malowania
życie nie byłoby tak piękne.*



Niedługo po tym Michèle została moją żoną i urodził nam się syn. Sacha (czyt. Sasza).

Z Paryża, w czerwcu 1969 roku, na krótko wyskoczyłem do wujka w Nowym Jorku. Czesalem na Madison Avenue, w sławnym salonie Monsieur Marc.

Wuj miał kilka salonów fryzjerskich w hotelach Hilton w paru krajach. Pojechałem do jego salonu Edouard de Paris w Porto Rico. Wytrzymałem zaledwie kilka miesięcy. Klimat nie dla mnie. Wróciłem do Paryża.

W 1972 roku podjęliśmy z żoną decyzję. Pożegnaliśmy Paryż i wróciliśmy do Polski. Zamieszkaliśmy w Zalesiu Dolnym i rozglądaliśmy się, gdzie osiąść na stałe. Wybraliśmy Magdalenkę. Kupiliśmy działkę, rozpoczęliśmy budowę domu. Stan wojenny zaskoczył nas dosłownie w czasie przeprowadzki na swoje. Do Magdalenki.

Laurent w Warszawie

Po powrocie do Polski Zdzisław Gasperowicz zaczął pracować w warszawskim salonie „Izis” obok modnej wówczas restauracji Szanghaj na Marszałkowskiej.

W 1974 roku otworzył pierwszy własny salon przy ulicy Szpitalnej w Warszawie. W oknach wystawowych zawisły portrety pięknych kobiet. Obrazy, które wyszły spod

ręki Zdzisława Gasperowicza. Salon fryzjerski „Laurent” stał się najmodniejszym salonem stolicy. Jego XIX-wieczny wystrój (budynek ocalał po Powstaniu Warszawskim) budził zachwyt.

Na ścianach dzieła mistrza. Portrety pięknych kobiet w pięknych, modnych fryzurach. Modelki, aktorki, panie z wyższych sfer zapisywały się do Laurenta jak na wizyty u wziętego lekarza.

Coraz częściej podczas rozmów warszawskich elegantek można było usłyszeć: „Byłam u Laurenta, czeszę się u Laurenta, fryzurę wymyślił dla mnie Laurent”. Laurent stał się dyktatorem mody fryzjerskiej w Polsce. W 1979 roku zdobył tytuł Mistrza Rzemiosła Artystycznego we fryzjerstwie.

– Malarstwo jednak wzięło górę. Ta pasja owdlała mną bez reszty. Od chwili gdy malowałem na Montmartre, odwiedzałem paryskie galerie, Louvre, uzależniłem się od malarstwa. Od kolorów, rysunku, malowania, formy, od piękna. To trzyma mnie do dziś. Gdy nie maluję, jestem niezdolny.

Malarstwo Zdzisława Gasperowicza znane jest bywalcom galerii: „École de Paris” i „René Drouet” na ulicy Faubourg Saint Honoré w Paryżu, „Claude de Viste” na Montmartre i parlamentarzystom Parlamentu

Europejskiego w Strasburgu, gdzie miał wystawę. Znane jest bywalcom galerii „Ars Polonica” w Stadde, „Arkady w Hamburgu”, „Ars Polonica” w Sarrebrucke, w Niemieckiej Republice Federalnej.

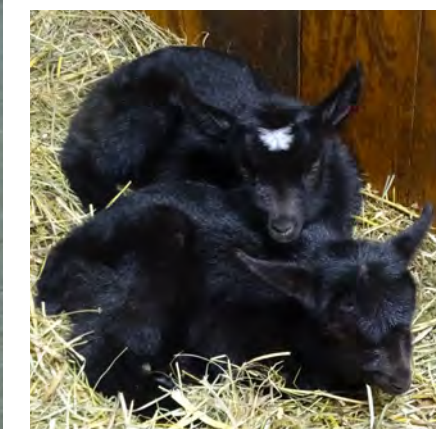
Jego prace mogli podziwiać też bywalcy naszych galerii. Pokazywał swoje dzieła w Galerii Desa w Al. Jerozolimskich i na Żurawiej, a także w wielu innych galeriach w Warszawie, Radomiu i Kazimierzu. Obecnie jego prace można znaleźć w galerii „Bellotto” oraz „Norland” w Warszawie.

– We fryzjerstwie osiągnąłem wszystko. Malarstwa uczyć się całe życie. W malarstwie znacznie trudniej osiągnąć sukces niż we fryzjerstwie. Niektórzy całe życie malują i nie osiągają sukcesu. Czasem są docenieni po śmierci. Ja się nie zniechęcam. Maluję, bo bez malowania życie nie byłoby tak piękne.

Dlaczego wróciłem do Polski? Dobrze pytanie. Według mnie wszyscy chcą wracać. Ja chciałem wrócić do Polski. Tam zawsze czułem się emigrantem. Często pytano mnie: „Nie mogłeś zostać w Ameryce, w Nowym Jorku? Pracowałeś w najlepszym salonie, zarabiałeś dobre pieniądze, nie mogłeś zostać”? Mogłem. Ale nie chciałem.

Wróciłem, bo chciałem być u siebie. I jestem. ■

Pierwsze byty trojaczki



Sadza, bo tak nazywa się szczęśliwa mama, dumnie przeżuwała siano, a małe ssały mleko, jak żadne inne kozłeta wcześniej. Już teraz można było wyczuć zapowiedź małych różków na niewielkich główkach i jak twierdzi pani Żaneta różnicę w charakterach. Koziołek był najbardziej zachowawczy, a dziewczynki bardziej towarzyskie. Maleństwa wychowują się pod baczным okiem opiekunów i całej koziej rodziny.

W przyszłości, kiedy będą już zupełnie samodzielne, dla dziewczynek trzeba będzie znaleźć nowe domy. Najlepiej u ludzi, którzy wiedzą, że „dobrze wychować kozę, to jak dobrze wychować dziecko” – jak mówiła we wrześnie mama pani Żanety. Koziołek zostanie tutaj.

Pani Żaneta pracuje nad odtworzeniem starej rasy kozy kazi-mierzowskiej. Czy koziołek będzie pasował do wzorca, jeszcze nie wiadomo. Wiadomo, że jest czarny i ma dłuższą sierść, a to już dobra zapowiedź.

Kozie trojaczki były tylko początkiem tegorocznych narodzin. Po kilku dniach urodziły się dwa koziołki, potem kolejne dwa i na koniec dwie kózki. W sumie pani Żaneta przywitała na świecie dziewięć maleństw. Sześciu chłopców i trzy dziewczynki. Teraz wszystkie, otoczone mamami, wychowują się razem w kozim żłobku. Czasami któreś jeszcze się pomyli i zacznie ssać nie swoją mamę, ale w końcu... wszystkie dzieci nasze są.

Koziej rodzinie życzymy szybkiego nadejścia lata i soczystej trawy na łąkach. ■

Już są. Pod koniec stycznia, pewnej zimowej nocy przyszły na świat kozłeta. Mama się pospieszyła i zjawiły się trochę przed terminem. Miały być dwa, bo tak wykazało badanie USG, ale okazało się, że jest i trzecie. Gdzieś w czasie badań się schowało.

U pani Żanety Szymańskiej, o której pisaliśmy we wrześniowym numerze „mojej Lesznowoli”, przyszły na świat kozie maleństwa. Jeden chłopczyk i dwie dziewczynki. W takiej chwili nie mogło nas tam zabraknąć. Dzień po narodzinach podziwialiśmy kozie trojaczki.

Jeszcze miały trochę niezgrabne ruchy, ale po oczach było widać, że wyrosną na bystre kozy.



Tu rządzi mama



W piekarni „Stenia” na Kwiatowej w Łazach bez mamy nic się nie dzieje. Od lat wstaje o pierwszej w nocy. O tej porze zaczyna się przygotowanie upieczonego wieczorem chleba do wysyłki. Nim obudzi się dzień i zaczną pod piekarnię podjeżdżać samochody, cały asortyment pieczywa pod okiem mamy będzie gotowy do wydania.



Do piekarni przyjechaliśmy bez zapowiedzi. Nie umawialiśmy się wcześniej z właścicielką, bo jak powiedziała córka: „Mama nie ma czasu”. Nie lubi opowiadać o sobie i na pewno nie będzie chciała, by robić jej zdjęcia. Najlepiej przyjść do piekarni bez uprzedzenia i spróbować.

Posłuchaliśmy pani Moniki i jej męża. Przyjechaliśmy rano, bo pani Stefania Pucel zawsze około dziewiątej jest jeszcze w piekarni. Była. Wysłuchała z uśmiechem krótkiej historyjki, jak to jedna z naszych znajomych zawsze mówiła, że najlepiej mieć piekarnię, bo ludzie zawsze chleb kupią – i szczerze się uśmieła.

– Nie te czasy, proszę państwa, nie te czasy. A pamięta pan – zapytała pani Stefania – jak przyjeżdżał pan po chleb do geesowskiej piekarni pod lasem? Ja pana pamiętam. Miałam wtedy piekarnię w dzierzawie.

Rzeczywiście, jakieś dwadzieścia parę, a może trzydzieści lat temu jeździliśmy po świeży chleb do wspomnianej piekarni. Był bardzo smaczny.

– Bo tam były piece z cegły i z takich pieców chleb lepiej smakował – dodała pani Stefania i lody puściły. Rozmawialiśmy jak starzy znajomi.

Droga w dorosłe życie

Nim opowiemy o rodzinnej piekarni, w której pracują syn i córka pani Stefanii i pomaga zięć, opowiemy krótką historię, która poprzedziła budowę piekarni na Kwiatowej.

Pani Stefania urodziła się w Ciechanowcu. Jednym z najstarszych miast Podlasia. Miast, które warto odwiedzić, zajrzeć na dawny rynek, wstąpić do kościoła, cerkwi, dawnej synagogi, do Muzeum Rolnictwa.

Gdy miała trzy latka, a brat zaledwie dziesięć miesięcy, umarła jej mama. Do szesnastego roku życia rodzeństwo było z ojcem i macochą.

– Mając szesnaście lat musiałam już na siebie pracować. Wyjechałam z Ciechanowca i przyjechałam do Warszawy. Łatwo nie było. Nie mogłam się nigdzie zameldować ani oficjalnie dostać pracy. Cały czas w różnych miejscach pracowałam na czarno. Przez tyle lat na czarno. Szkoda mówić.

Poznałam chłopaka i wyszłam za męża. Musiałam zarabiać na utrzymanie. Rano chodziłam do pracy, a wieczorem do wieczorowego liceum. Wynajmowaliśmy z mężem mieszkanie i w tym mieszkaniu urodził się Wojtuś.

Kiedy miał dziesięć miesięcy, kupiliśmy w Raszynie pół maleńkiego domku i przeprowadziliśmy się na swoje. To był pamiętny dla nas 1974 rok. Zamieszkaliśmy przy Alei Krakowskiej 59. Mieszkało w tym domu – zaraz, niech sobie przypomnę, raz, dwa, trzy, cztery – pięć rodzin. Dwa lata później urodziła się Monika.

Zaczęłam pracować w GS „Samopomoc Chłopska” w Raszynie. Najpierw w sklepie, a potem w piekarni. Piekarnia była na ulicy Wschodniej. Bardzo mi się praca w piekarni podobała. W sklepie zarabiałam dwa tysiące dwieście miesięcznie, a w piekarni trzy razy tyle. To było coś.

Mój mąż był bardzo dobrym krawcem. W życiu nigdy jednak nie ma tak, że wszystko układa się szczęśliwie. Zachorował ciężko na nerki. Obie przestały funkcjonować. Podłączono go do sztucznej nerki. Chorował siedemnaście lat. Małżeństwem byliśmy lat dwadzieścia.

W piekarni w Raszynie pracowałam jakieś trzy lata. Potem piekarnia poszła do remontu, a GS wybudował w Łazach pod lasem dużą piekarnię. Zostałam jej kierowniczką. Na początku nie chciałam, trochę się bałam, ale z perspektywy lat nie żałuję. Zarobki w piekarni z czasem pozwoliły myśleć i o własnym domu, i o wła-

snej piekarni. Gdy umarł mąż, Wojtuś miał siedemnaście lat, a Monisia piętnaście.

Piekarnia na Kwiatowej

– Mama to bardzo silna kobieta – mówi zięć pani Stefanii. – Pracowała, pielęgnowała chorego męża, budowała dom i piekarnię.

– Dawniej robiłam wszystko sama, znałam się na tym, ale teraz wszędzie jest elektronika, a ja specjalnie się na tym nie znam i już mi się nie chce tego wszystkiego uczyć. Wystarczy mi tej papierkowej pracy z ZUS-em, z urzędami, niech internetem i elektroniką zajmują się młodzi.

Piekarnia „Stenia” pracuje od 2002 roku. W ofercie piekarni czytamy: „Pieczemy już 30 lat! Stosujemy nasze receptury i nie boimy się eksperymentować z nowymi! Oferujemy szeroką gamę pieczywa białego i ciemnego wypiekanego wg starych, sprawdzonych receptur piekarskich. Proponujemy pieczywo w stylu „chłopskim”: weselne, komunijne, dożynkowe, chlebki razowe w kształcie glinianego garnka przeznaczone do podawania zup staropolskich, warkocze do wystawiania wędlin...”. Naliczyliśmy w ofercie dwadzieścia jeden rodzajów chleba i tyle samo rodzajów bułek.



**...specjalnie dla Czytelników „mojej Lesznowoli”
pani Stefania zrobiła na naszych oczach chleb weselny.**

Dzień pracy pani Stefanii od 28 lat zaczynał się zawsze o pierwszej w nocy. Tak jest i teraz. A kończy?

– Tu się siedzi, dokąd trzeba. To nie jest tak – od godziny do godziny. A jak zaczyna się wiosna, przyjdzie lato, trzeba jeszcze dbać o ogródek, kosić trawę, pielęgnować. Łatwo nie jest. Na spanie czasu nie ma.

Codziennie kilka minut po pierwszej schodzę do piekarni, bo piekarze, którzy zaczęli pracę o siedemnastej, jeszcze pracują. Trzeba poukładać wystudzone pieczywo do pojemników, w których pojedzie do sklepów. Wieczorem i w nocy trwa produkcja chleba. Najpierw przygotowany półkwas, potem zakwas, potem mąka, sól, drożdże, woda i maszyny wyrabiają ciasto. Potem ciasto dzieli się ręcznie na kęsy, każdy jest ważony i ręcznie formowany. Potem idzie do pieca i gotowe. Proste, prawda? A jak pięknie pachnie i pięknie wygląda. Najważniejsza

jest dobra mąka. Ja od początku kupuję mąkę z młyna w Zduńskiej Woli.

Bułki robi się z pszennej mąki, wody i drożdży. Do każdej bułki dodaje się troszkę cukru, soli i margarynę. Tak to wygląda w teorii. Jak wygląda w praktyce, możecie zobaczyć sami. Musicie tylko przyjechać wieczorem, kiedy zaczyna się wyrabianie pieczywa. Zrobię specjalnie chleb weselny.

Skorzystaliśmy z zaproszenia. Przyjechaliśmy wieczorem i...

Specjalnie dla Czytelników „mojej Lesznowoli” pani Stefania zrobiła na naszych oczach chleb weselny.

Szkoda, że nie możemy przekazać Czytelnikom zapachu tego chleba. Szkoda. ■



fot. Beata Wielgosz



Na eksponowanym miejscu półki ze starymi narzędziami stolarskimi, które odziedziczyli po dziadku. To świadectwo rodzinnej tradycji, którą kontynuują właściciele pracowni stolarskiej w Kolonii Mrokowskiej, Stanisław i Krzysztof Dawidczykowie.

Pewnie trudno w to uwierzyć, ale z pracowni w Kolonii Mrokowskiej płyną, jadą lub lecą meble do wieżowców na Manhattanie, willi w Hiszpanii, apartamentów na Ibizie, salonów w Moskwie, w Wiedniu i do wielu innych miejsc na świecie.

Obok nowoczesnego zakładu zamierzony staw, po którym spacerują gęsi, kurnik, przy którym krzątają się kury zielononóżki, dumne koguty i para pawie, chowających się za trzcinami. Jesteśmy pod wrażeniem. Swojski obrazek, charakterystyczny dla naszej gminy. Tu sielska atmosfera wiejskiej zagrody, a za ścianą zakładu nowoczesna technika i nowoczesne technologie. Produkcja dla wielkiego świata.

Zaczął się od dziadka

Dziadek Piotr Dawidczyk był człowiekiem przedsiębiorczym i człowiekiem wielu talentów. Prowadził gospodarstwo, był krawcem, miał kuźnię, stolarską strugnicę i narzędzia stolarskie.

Jako krawiec specjalizował się w krawiectwie tzw. ciężkim. Miał do szycia maszynę Singera na korbkę i szył palta, jesionki i kożuchy. Potem dorobił się bardziej nowoczesnego Singera napędzanego pedałem i szycie stało się lżejsze. Na tej nowszej maszynie szył sukmany dla Kurpiowskiego Zespołu Folklorystycznego Carniacy z Czarni, bo rodzina Dawidczyków pochodzi z regionu kurpiowskiego.

W kuźni na własne potrzeby robił wszystko. Jak trzeba było hartować siekiere, to hartował, jak zrobić podkowy, to robił podkowy. Potrafił sam podkuć konia i zrobić żelazną bramę.

Miał też dziadek wspomnianą strugnicę stolarską, różnego rodzaju strugi czy jak kto woli – heble do heblowania desek, wycinania profili, miał dłuta, wyrzynarki i inne narzędzia potrzebne w stolarstwie.

Ten stolarski dobytek dziadek przekazał swojemu synowi, stryjowi Stanisława i Krzysztofa. Stryj poszedł z domu na swoje, rozwinął stolarską działalność i całkiem nieźle w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych z tych usług stolarskich żył.

Kiedy stryj uznał, że czas zwolnić tempo i odpocząć od pracy, narzędzia stolarskie przekazał synowi brata, Stanisławowi, który w przyszłości miał zostać stolarzem. To były cenne rodzinne pamiątki, które jak wspomnieliśmy, zajmują w pracowni Dawidczyków honorowe miejsce.

Kurpie to dobry region. Jak zapamiętał pan Stanisław, w domu zawsze się mówiło: „Kurpś jest biedny, ale wolny”. I tej maksymy w rodzinie Dawidczyków się trzymało.

Stolarstwo

W rodzinie Dawidczyków było sześć córek i czterech synów. Synowie na początku pracowali razem. Stworzyli rodzinne przedsiębiorstwo. Najstarszy brat wprawdzie skończył obróbkę skrawaniem, ale na początku pracował razem ze Stanisławem i Krzysztofem. Drugi brat, wprawdzie ślusarz spawacz, ale też pracował na początku z braćmi, a teraz ma własną lakiernię.

– Ja już od podstawówki lubiłem robić w drewnie – mówi Stanisław Dawidczyk. –Skończyłem zasadniczą szkołę zawodową, potem technikum ogólnobudowlane. Uczylem się i mieszkałem w Warszawie. Najpierw w internacie, potem w hotelach robotniczych. Kiedy się ożeniłem, zaczęliśmy z żoną wynajmować mieszkania. Na Zaciszu, potem na Szmulowiznie, na Żoliborzu, Woli – trochę tych drobnych przeprowadzek było, nim znalazłem się w gminie Lesznowola.

Dziewięć lat pracowałem w firmie stolarskiej jednego pracodawcy. Zaczynałem jako stolarz, a kończyłem jako kierownik. Firma była jedna, ale często zmieniała w Warszawie miejsca działania. Pracowałem więc na Karolkowej, Sławińskiej, Tatarskiej i Płochocińskiej. Zaczynałem jako stolarz, a skończyłem jako kierownik stolarni. Zaczęłem się rozglądać za własną działalnością.

Dwudziestego pierwszego czerwca 1999 roku zarejestrowaliśmy z Krzysztofem własną firmę w Mrokowie przy Alei Krakowskiej 30. Pierwszego lipca nasz zakład ruszył. Przez pięć i pół roku prowadziliśmy w tym miejscu działalność.

Miałem trochę szczęścia. Pracując w poprzednich firmach, nawiązałem kontakty z wieloma osobami, które mi zaufały i bardzo pomogły na starcie. Nasz zakład miał trzystumetrową halę

Z MROKOWA ZA WIELKĄ WODĘ



... wiedzieliśmy od małego, że nic nie ma za darmo.

Pracowaliśmy na dobre imię firmy bardzo ciężko. Zaczynało się o siódmej, a kończyło o dwudziestej czy dwudziestej pierwszej. Przez kilka lat non stop. Lampka ostrzegawcza zapaliła mi się w głowie, gdy syn oblał szóstą klasę.

Rok szkolny kończył się w czerwcu, a ja o tym dowiedziałem się w połowie października. I wtedy powiedziałem sobie: „Przyhamuj. Przyhamuj, bo wszystko jest ważne, ale najważniejszy jest dom i rodzina”. Dopiero od tego zdarzenia zacząłem chodzić na wywiadówki, spędzać z rodziną wakacje. Przez piętnaście lat nie byłem na urlopie, więc było co odrabiać.

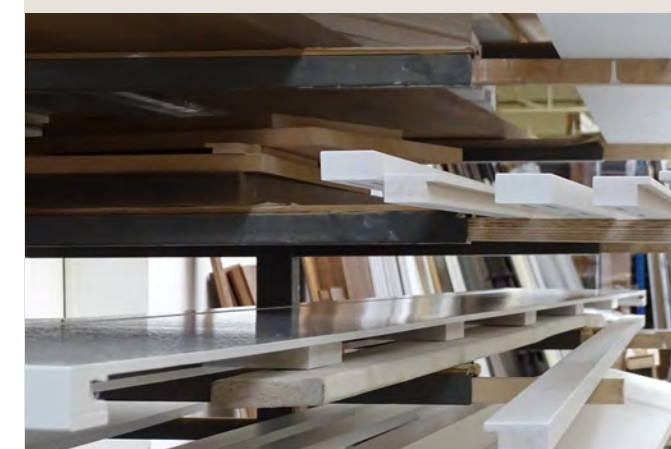
Gdy pracowałem u kogoś, zamiast urlopu brałem pieniądze, bo chciałem budować swój dom. Budowałem sam. Dom budowałem w wolne soboty i niedziele. Pamiętam, jak zrobiłem wykopy i przyszedł fachowiec, żeby wymurować fundament. Ja zarabiałem wówczas trzy tysiące miesięcznie, a on za fundamenty chciał pięć.

Wziąłem dwa tygodnie urlopu, przyjechał brat, szwagier i przez dwa tygodnie zrobiliśmy fundamenty. Doprowadziłem budowę do stanu surowego zamkniętego, wziąłem pożyczkę i wykończyłem dom. Teraz mieszkam obok zakładu.

Raz na jakiś czas organizujemy „szkolenia”. Siadamy przy stole i we własnym gronie rozmawiamy, co dalej. Naszą firmę polecają klientom architekci. Jesteśmy w jakiś sposób od siebie zależni. Oni wymyślają, co zrobić, czy jak wykończyć wnętrze apartamentu, a my myślimy, jak ten zamysł zrealizować. Bo nie sztuka wymyślić, co zrobić, ale jak to zrobić, żeby wyglądało tak jak na projekcie. No i potrzebny jest klient, który za tę pracę zapłaci.

Kiedyś robiliśmy mniej zabudowy mieszkań, a więcej lad i holi recepcyjnych. Robiliśmy wnętrza dla Coca-Coli, firmy doradczej Ernst&Young, dla jednej z największych międzynarodowych kancelarii prawnych Baker McKenzie, dla Microsoftu – jednego z największych na świecie przedsiębiorstw z branży technologii informacyjnych. Słowem – dla wielkich i bogatych, bo wielcy i bogaci rozwijali się w naszym kraju. Robiliśmy też wnętrza restauracji Magdy Gessler na Mokotowskiej.

Gdy następowało schładzanie gospodarki, byliśmy już przygotowani na realizację zamówień prywatnych.



...na Kurpiach bezinteresowna zawiść i zazdrość nie są znane.

W kurpiowskim społeczeństwie pomoc, każdy jest do pomocy gotowy. Tu było trudniej. Z perspektywy czasu doszedłem do wniosku, że społeczeństwo kurpiowskie nie bardzo pasuje do obrazu polskiego społeczeństwa. Na Kurpiach bezinteresowna zawiść i zazdrość nie są znane.

Pierwszego czerwca 2004 roku dostaliśmy pozwolenie na budowę zakładu i po sześciu miesiącach zakończyliśmy pierwszy etap budowy. W styczniu 2005 roku była przeprowadzka. Trzy lata później rozbudowaliśmy zakład.

Z Mrokowa w świat

– Kiedyś zapytano mnie: „Jaka jest różnica między pracą u siebie i u kogoś?”. Odpowiedziałem: „Żadna. Tyle że tu mnie nikt nie opieprza”. U siebie mogę sobie wszystko spokojnie zaplanować, nikt mi planów nie przestawia, nikt nie maści, nie przeszkadza. Z Krzysztofem bardzo dobrze się uzupełniamy. Jest podział obowiązków i odpowiedzialności. Nie dublujemy się. Na głowie brata są sprawy techniczne, na mojej formalności.

Z klientami jest tak, że informacje o naszej firmie przekazują sobie sami klienci. Jeden poleca nas drugiemu.

Kiedy zaczynaliśmy działalność, znało mnie kilku architektów wewnątrz z okresu współpracy z poprzednią firmą. My też znaleźliśmy kilku. Mieliśmy już markę, która na nas pracowała i tej marki klienci zaczęli szukać. Szybko nas w nowym miejscu znaleźli.



produkcyjną i takiej samej wielkości halę przeznaczoną na lakiernię, szlifiernię, biuro, szatnie i inne pomieszczenia.

Po jakichś trzech latach działalności mogliśmy powiedzieć, że firma dobrze prosperuje. Pospłacaliśmy zobowiązania i zaczęliśmy się rozglądać za nową, większą, własną lokalizacją.

Przez przypadek trafiliśmy na tę działkę w Kolonii Mrokowskiej. Dogadaliśmy się z sąsiadami i po pokonaniu paru formalnych przeszkód w 2003 roku działkę kupiliśmy.

W moich stronach, na Kurpiach jest tak, że z sąsiadami dogadać się można bardzo szybko, bo tam jest zasada, że jeden drugiego pomaga. Jest czas pracy i czas świętowania. Ale kiedy trzeba

Pierwsze zamówienie z za Wielkiej Wody przyszło od jednego z polskich biznesmenów, który w Nowym Jorku na Manhattanie kupił dla syna apartament. To, co tam zrobiliśmy, zobaczył project manager, czyli specjalista zarządzający określonymi projektami, i już byliśmy na jego liście. Mógł nas polecać innym klientom w Stanach.

Z wcześniejszych kontaktów mieliśmy dobre relacje z firmą Casa Mija. Jedna ze współwłaścicielek firmy wyprowadziła się do Wiednia. Prowadzi tam interesy i u nas zamawia wykonanie wyposażenia wnętrza.

Współpracujemy z klientką, która kupuje domy na Ibizie i w San Tropez we Francji i zamawia u nas kompleksowe zabudowy wnętrza. Mieszka w Wiedniu i prowadzi też działalność w Moskwie, więc i do Moskwy jeździmy z naszą produkcją. Dla jej córki robiliśmy zabudowę kliniki lekarskiej w Wiedniu.

Jak to się odbywa? Dostajemy projekt, analizujemy, potem jedzie nasz specjalista, by dokładnie wszystko wymierzyć. Wraca i bierzemy się do roboty. Gdy wszystko jest gotowe, pakujemy elementy w skrzynie i wysyłamy w świat. Nasi montażyści jadą, by na miejscu wszystko zamontować.

Na czym polega nasza moc? Na kwalifikacjach naszych pracowników. My jesteśmy nauczeni pracy i nasi pracownicy są nauczeni pracy. Mnie z bratem pracy nauczył ojciec. Wiedzieliśmy od małego, że nic nie ma za darmo. Żeby coś w życiu mieć, trzeba pracować. I nasi pracownicy to wiedzą. Dlatego dobrze pracują. Stworzyliśmy doskonały zespół. Prawdą jest i to, że część naszych pracowników to rodzina. Bliższa, dalsza, ale rodzina. Kiedyś prawie połowa załogi była spowinowacana. Dwóch moich synów też pracuje dziś w rodzinnej firmie.



*... żeby coś w życiu mieć,
trzeba pracować.*

Teraz na montaż do Nowego Jorku jedzie człowiek, którego kilka lat temu trudno było oderwać od pługa. Nic nie umiał. Dziś jest jednym z najlepszych montażyistów. Pojedzie z moim chrześniakiem, który zna angielski i będą montowali wnętrza na 43. piętrze jednego z najwyższych budynków na Manhattanie.

Czas na hobby

Czy mam jakieś hobby? Bardzo lubię robić wino i nalewki. Ojciec mój pędził na Kurpiach księżycówkę, ja robię nalewki. Jakoś tę rodzinną tradycję trzeba podtrzymywać.

Wino robię z głogu i dzikiej róży. Nalewki na pigwie. Teraz zasadziłem specjalnie dwie jarzębiny i spróbuję zrobić jarzębiaczek. Przymierzam się do nalewki z owoców czarnego bzu. Robiłem też wino i nalewkę z pędów sosny. Rewelacyjna jest nalewka z mirabelki.

Jednak najbardziej lubię usiąść nad jeziorem. Wczesnym świtem usiąść na pomoście nad wodą i nic nie robić. Zmrużyć oczy przed promieniami wschodzącego słońca i słuchać jeziora. ■

Made in
Poland



Pan Bogdan Lenard jest z zawodu mechanikiem samochodowym. Robił różne rzeczy, ale po życiowych doświadczeniach uważa, że w życiu trzeba robić to, co się lubi. Był kierowcą, pracował w redakcji „Expressu Wieczornego” jako goniec, potem awansował na pracownika działu technicznego. Pracował też jako ślusarz, bo takie ma zdolności manualne, ale tak naprawdę zawodowo, z zamiłowania i z doświadczenia jest technikiem samochodowym.



fot. z archiwum prywatnego państwa Lenard



Syn Mateusz jest studentem. Studiuje zarządzanie zasobami ludzkimi, pisze licencjat i pracuje jako logistyk w firmie, która naprawia telefony i zajmuje się dystrybucją.

– Od dziecka bawię się w politykę i samorządy. Zaczynałem w gimnazjum. Ktoś mnie kiedyś popchnął: „Spróbuj być przewodniczącym szkoły”. I zostałem. Nauczycielom się to nie podobało, bo ja zawsze bardziej chciałem iść przed tłumem niż nim być, i przez to często musiałem oberwać, ale się nie poddałem.

Potem była Młodzieżowa Rada Gminy w Piasecznie. Teraz nadal przychodzę na spotkania, ale jestem tzw. organem doradczym, bo jestem dużo starszy. To jest jedna z najlepszych młodzieżowych rad w Polsce, chwalona przez wszystkie organizacje pozarządowe.

Obaj panowie, ojciec i syn, mają tę samą pasję. Mama tę pasję toleruje, choć łatwe to nie jest.

Pierwsza Syrenka

– Zaczęło się banalnie. Jako siedemnastoletni chłopak w Lidze Obrony Kraju, czyli w LOK-u, trenowałem trójbój obronny – wspomniał pan Bogdan. – To był fajny sport dla chłopaków. Jeździliśmy na zawody do krajów zaprzyjaźnionych i rozgrywaliśmy poważne, trzydniowe zawody. Dzięki temu byłem w Berlinie, Budapeszcie i Pradze.

Zawody były trzydniowe. Pierwszego dnia biegaliśmy po stadionie, wykonywaliśmy skoki i strzelanie. Drugi dzień zawodów to był bieg na dystansie trzech kilometrów z karabinem na plecach. Biegło się i strzelało do celu. Trzeci dzień – to były pojedynki strzeleckie. Moim trenerem był pan Stanisław, który oprócz trójboju obronnego prowadził w LOK-u kursy nauki jazdy. Samochodem, którym często jeździli na zawody, była syrenka.

Tak mi się ten samochód spodobał, że namówiłem mamę i mama od pana Stanisława syrenkę kupiła. To jednak nie był sprzęt na miarę moich aspiracji. Po roku pojechaliśmy z mamą i siostrą na giełdę samochodów na Bemowie i syrenka zmieniła właściciela. Opowiadał o tym zdarzeniu, bo to bardzo ważny fakt, który miał ogromne znaczenie dla naszej pasji.

Druga syrenka

Kiedy Mateusz miał 11 lat, zobaczył w Gołkowie taką syrenkę, jaką miał tata. Stała w obejściu przywalona piachem, bo ktoś budował dom. Opowiedział o syrence ojcu. Pan Bogdan odszukał właściciela, który nie ukrywał zdziwienia, że ktoś zainteresował się zasypanym starociem. Pogadali, potargowali się, odkopali z piachu i syrenka została sprzedana. To był pamiętny dla nich 31 marca 2006 roku.

– To była pierwsza syrenka, którą mąż kupił i sprowadził bez mojej zgody – wtrąca pani Małgorzata. – Dostawałam smsy od koleżanek, że mam piękny samochód na podwórku i jak wrócę z pracy, to wszyscy przyjdą do mnie na kolację, żeby to uczcić. Tak się dowiedziałem o zakupie pierwszej syreny.

– Ja dowiedziałem się o samochodzie, gdy byłem na urodzinach koleżanki. Mama do mnie dzwoni i mówi: „Tata kupił skarpetę. – Jaką skarpetę? Co ty chcesz?”. Ale wracam do domu, patrzę – stoi. To było moje szczęście.

Po tej pierwszej znaleźli i kupili drugą. A jak kupili, to z miejsca przystąpili do remontowania i odbudowy samochodów. Chodziło o to, by wyglądały tak, jakby przed chwilą opuściły fabryczną taśmę. I musimy przyznać, że tak wyglądają.

– Trzy lata zajęło nam wyremontowanie tego samochodu – wspomina Mateusz. – Moi koledzy nigdy nie

potrafili zrozumieć, dlaczego ja wolę siedzieć w smarze niż biegać za piłką. W 2009 roku zaczęliśmy nią jeździć po okolicy. Jak pierwszy raz pojechaliśmy do Gołkowa i z powrotem, to znów wszystko trzeba było regulować.

W 2010 roku postanowiliśmy z naszą syrenką jechać na zlot. Wzięliśmy lawetę, zapakowaliśmy na nią syrenę, przykryliśmy taką „pidżamką” i samochodem, którym obecnie jeszcze jeżdżę, pociągnęliśmy do Bielska-Białej.

Przyjechaliśmy jako pierwsi, bo mieliśmy najdalej. Wszyscy chodzili, było ognisko, a my tę syrenę zostawiliśmy pod tą plandeką. Wszyscy zaglądali, co tam pod nią jest. Kiedy ją zdjęliśmy, powiedzieli: „Nowa”. I tak to się zaczęło. To był nasz pierwszy rajd i pierwszy taki wyjazd.

Pierwszy raz mieliśmy w rękę prawdziwą kartę drogową. Ja byłem kierowcą, a Mateusz pilotem. Świetnie sobie poradził. Organizatorzy

obliczyli czasy przejazdu trasy z dużym zapasem, licząc, że coś się zepsuje. A myśmy pędzili. Zero awarii. Przyjechaliśmy pierwsi. Podejrzewaliśmy, że jechaliśmy na skrót. Ale jak na skrót, skoro wszystkie punkty kontrolne były zaliczone? Wygraliśmy. Mateusz miał wtedy 15 lat.

Kupowaliśmy kolejne syreny. Było ich dużo. Niektóre musieliśmy zlikwidować z racji tego, że się nie nadawały do remontu. Z jednej zrobiliśmy pojazd do jazdy po lesie. Zamiast quada.

Z tą pierwszą syrenką jest związana krótką, wzruszająca historia. Ostatnio oglądałem w internecie fragmenty Polskiej Kroniki Filmowej. To była kronika z giełdy samochodów na Bemowie. Na filmie samochody, motocykle, sprzedawcy, klienci i tłumy gapiów wędrujących między pojazdami. Nagle przez 2 czy 3 sekundy na filmie pojawia się moja pierwsza syrena, którą przyjechaliśmy sprzedać na giełdę.



...często ludzie sami przywożą nam rowery znalezione gdzieś w stodole, czy komórce.

Za kierownicą moja siostra, bo ja jeszcze nie miałem prawa jazdy. Siedzi moja mama. Siedzi handlarz, który ją kupował, i ja.

Gdybym nie zobaczył na filmie mamy, to bym tego samochodu nie poznał. Od niego się wszystko zaczęło.

To była polska motoryzacja. Jaka by ona nie była, ale krajowa. Lepszej nie mieliśmy. Ludzie, te samochody pamiętają. Przychodzą, rozmawiają, dzieci czy wnuczki sadzają i robią zdjęcia: „Usiądź, wnusiu. Zobacz, jakim samochodem dziadek jeździł”.

Polskie motorowery

Zbieranie motorowerów zaczęło się od tego, że koledzy pana Bogdana wpadli kiedyś na pomysł, żeby dziecku do nauki jazdy dać motorynkę. Pan Bogdan zrobił dwie takie same. Niebieskie, bo taki lakier można było wtedy dostać. Jedną dla swojego syna, drugą dla syna kolegi. Po trzydziestu latach odkupił od kolegi motorynkę i te motorynki ma do dzisiaj.

– Przed motorynką mąż skonstruował traktorek dla mojego chrześniaka. To był mały traktorek na pedały, zbudowany na bazie dwóch rowerów.

– A propos rowerów. Lubię coś tworzyć. Całych, starych rowerów w dobrym stanie nie ma. Nawet jak taki złom się przyniesie, to jest superfajda, że da się uratować. Są to rzeczy, które już się nie wrócą. To Pelikany, Wigry, Flamingi, Bmx’y – wszystkie rowery produkowane w kraju, przez zjednoczoną fabrykę rowerową, czyli „ZZR”, późniejszy „ROMET”, czy „SM MESKO”.

W połowie lat 60-tych Polska eksportowała 35% rowerów za granicę. To były piękne rowery. Restaurację całkowitą roweru rozpoczynamy, kiedy mamy zgromadzone wszystkie części. Dziesiątki rowerów leży i czeka.

Najpiękniejsze są rowery z lat 60. Te na eksport malowane były lakierem metalik, a w Polsce głównym kolorem był czarny i wiśniowy. Ten jest z 1963 roku. Ma ostre koło. Pomalowany jest na wiśniowo, obręcz srebrzanka.

Mamy rower z 1965 roku produkowany w Polsce na rynek amerykański. Nazywa się Korlis i ma oczywiście szyldzik „made in Poland”. Metalik. Ma szperunki, przepiękną lampę raketę i nóżki do nauki jazdy. Te nóżki były tak skonstruowane, że druga osoba, dziecko, mogło wsadzić

w nie nogę i jechać. W Polsce te rowery nie były dostępne. Produkowaliśmy piękne rowery.

Mamy w swojej kolekcji też tzw. kolarzówki. Oryginalne są też przerzutki umieszczone na ramie, gdzie kolarz musiał wyczuć zmianę biegów. Klucze do napraw pod siedzeniem, jakaś łatka, żeby można było przykleić i naprawić przebitą oponę.

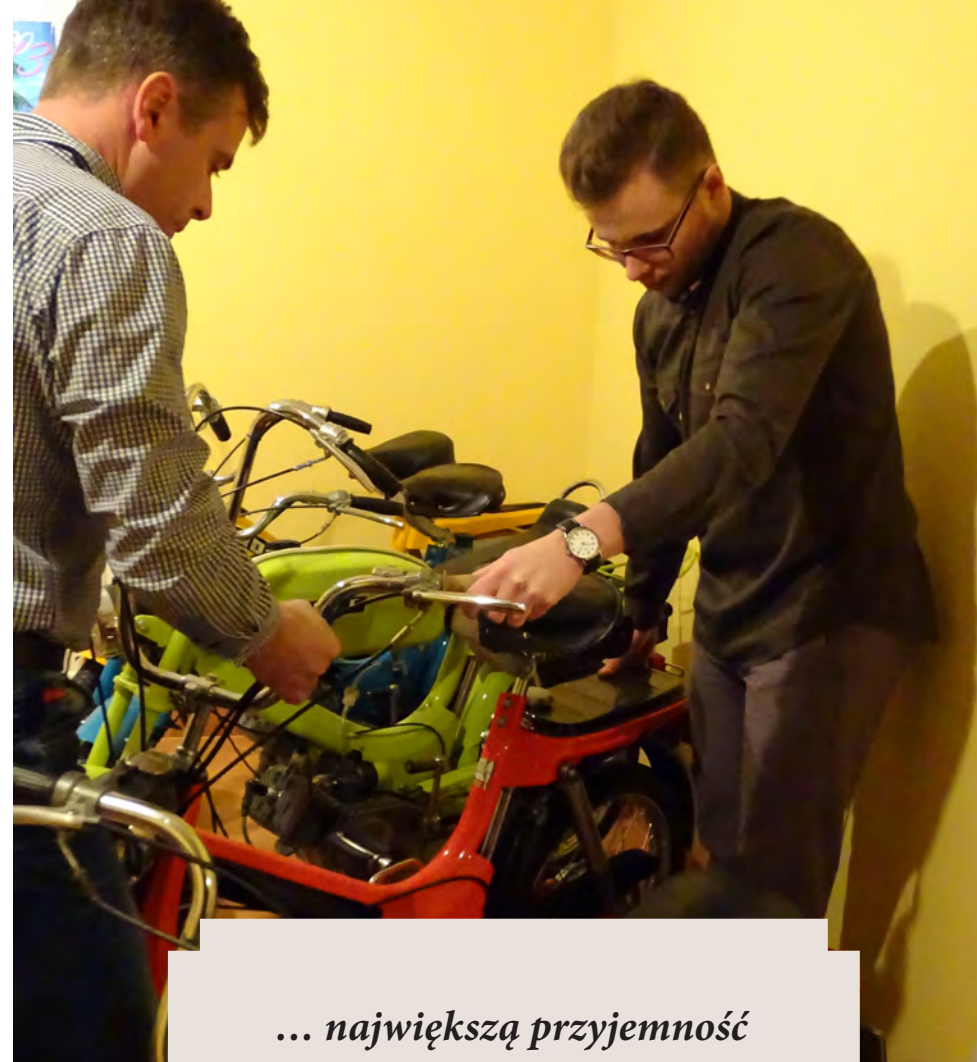
Skąd bierzemy rowery? Szukamy, kupujemy, ale też często ludzie sami przywożą nam rowery znalezione gdzieś w stodole czy komórce. „Zbieracie, to może i ten wam się przyda”. Starsze rowery były duże ładniejsze i dużo lepsze.

Zbieramy i odbudowujemy też motorowery. Ten żółty to Komar 2361. Tata kupił go w połowie lat 70. Był niekompletny, a dziś wygląda jak nowy. Ten czerwony pochodzi z Grójca. Tę niebieską motorynkę dostałem od taty na komunię, a ten zielony motorower z automatyczną skrzynią biegów dziadek kupił używany mojemu tacie.

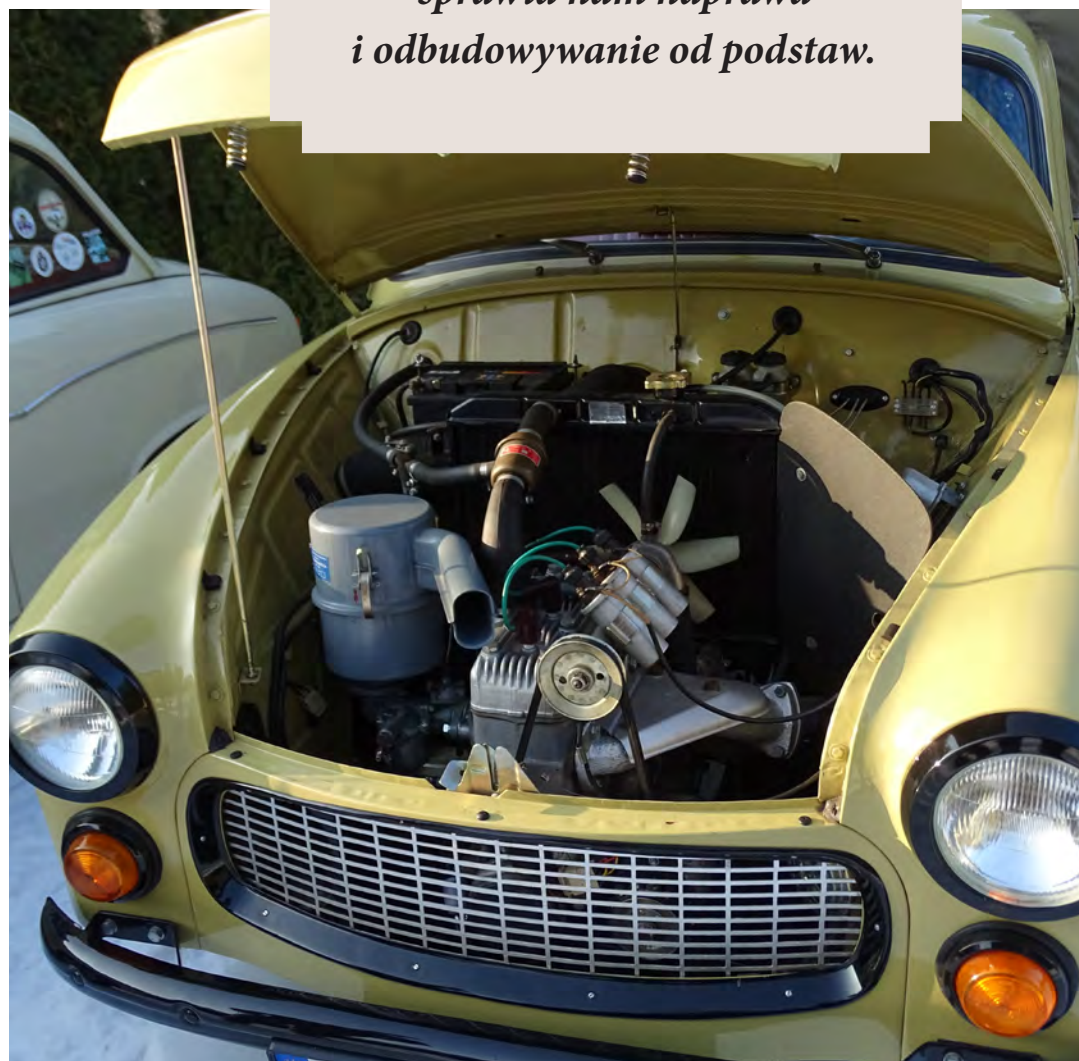
W Polsce, jak widać po naszym zbiorze, występowały trzy kolory motorynek: czerwony, zielony, niebieski. Później w latach 80. bardziej soczyste. Wprowadzono też kolor żółty.

Zbieramy też miniaturki samochodzików. To są wszystkie samochodziki z PRL-u. Wszystko robimy dla zabawy, przyjemności, a jeśli czasami uda się wygrać rajd, to fajnie. Wychodzimy z założenia, że robimy dobrze albo wcale. Największą przyjemność sprawia nam naprawa i odbudowywanie od podstaw.

Teraz robimy Fiata 126. Malucha cytrynkę z 1979 roku. Zawieszenie i silnik są już zrobione. Robimy też syrenkę, która teraz stoi pod plandeką. Mechaniczne rzeczy i tapicerka są już zrobione. To jest Syrena 105 z 1974 roku. Nie będzie do końca oryginalna, jeśli chodzi o barwę, bo będzie pomalowana tak jak syreny 102 i 103, czyli biały dach, a reszta w innym kolorze. Karoseria biała. Troszkę nas poniosło.



... największą przyjemność sprawia nam naprawa i odbudowywanie od podstaw.



Był sobie salon

Kolekcjonerstwo to pasja. Jedni zbierają baterie, inni bilety komunikacji miejskiej, jeszcze inni autografy, breloczki, korki od butelek, pudełka po zapalniczkach, medale, orderki, muszle, znaczki pocztowe... Lista jest bardzo długa.

Ta kolekcja w tych kategoriach się nie mieści. Dla niej potrzeba przestrzeni. Każdy egzemplarz z kolekcji jest produkcji polskiej, może być wyprowadzony, odpalony i użyty do jazdy. Każdy wygląda tak, jakby dopiero wyjechał z fabryki.

U państwa Lenard wypielęgnowane, lśniące świeżością farb rowery i motorowery stoją w wypieszczoonych pomieszczeniach, które kiedyś miały zupełnie inne przeznaczenie.

– To był mój salon fryzjerski – mówi pani Małgorzata. – Przychodziły koleżanki, siadałyśmy sobie, robiłam im włosy. Rozmawiałyśmy, czasem był kieliszek szampana, było wspaniale. Teraz mają żal do męża, że woli rowery i motorynki. Życie jest pełne niespodzianek. ■



fot. z archiwum prywatnego FC Lesznowola

Magia piłki nożnej

Gra w piłkę nożną na ogół zaczyna się wcześnie. Kopaniem piłki na podwórku. Jednym to z wiekiem przechodzi, innym nie. Większą szansę na doskonalenie umiejętności prowadzenia piłki, dokładnych podań, zasad gry w piłkę nożną mają te dzieci, których rodzice są sympatykami tej dyscypliny. To oni kibicują dzieciom i szukają miejsc, gdzie dzieciaki mogą trenować. Wybraliśmy się w takie miejsce.

Wtorek wieczór, hala sportowa Zespołu Szkół Publicznych w Łazach. W hali kilkunastu chłopców w koszulkach z napisem „FC Lesznowola” i trener Mariusz Skalski. Rozpoczyna się trening jednej z grup wiekowych chłopców, których rodzice zapisali do Akademii Piłkarskiej FC Lesznowola.

Najpierw rozgrzewka, rozciąganie, ćwiczenia ruchowe i zabawy z piłką. Umiejętność prowadzenia piłki połączona z ćwiczeniami koordynacji, szybkości itd. Trener wie, co robi, a chłopcy doskonale się bawią i uczą. I o to tu chodzi. Zabawa i nauka. Nic na siłę. Takie jest założenie i taki cel Akademii Piłkarskiej.

Prezes Stowarzyszenia Miłośników Piłki Nożnej FC Lesznowola i Akademii Piłkarskiej Jerzy Boguta nie ma za sobą kariery piłkarza zawodowego. Tak jak każdy chłopiec grał w piłkę w czasach szkolnych, później grał w drużynie LZS-u, który działał na terenie gminy.

Jest miłośnikiem piłki nożnej i wie, że chłopcy, a teraz coraz częściej i dziewczynki, od małego uganiają się za piłką. Za piłką uganiał się też Kamil, syn pana Jerzego, co ojcu sprawiło wielką radość.

– Wiele czasu spędzaliśmy razem na boisku, grając i bawiąc się piłką. Kiedy Kamil miał 10 lat, zaczął już profesjonalne treningi w amatorskim klubie SEMP-Ursynów – wspomina pan Jerzy. – SEMP to Stowarzyszenie Edukacji Młodych Piłkarzy. Jak dorastał, zdobywał umiejętności, biorąc udział w różnego rodzaju rozgrywkach, zmieniał kluby, bo poszukiwaliśmy zawsze wyższego poziomu i czegoś lepszego. Grał w klubach w Piasecznie, w klubie Orzeł Baniocha, a ja cały czas uczestniczyłem w jego piłkarskiej karierze. Woziliśmy go na treningi, na mecze, rozmawialiśmy o piłce. W 2002 roku pojechaliliśmy razem na piłkarskie mistrzostwa świata w Korei Południowej i Japonii. Chcieliśmy zobaczyć, jak grają najlepsi.

Piłkarska pasja miała ogromny wpływ na Kamila, który podjął naukę na warszawskim AWF-ie i został magistrem wychowania fizycznego.

Interesowały go przede wszystkim nowe systemy nauczania posługiwania się piłką nożną, jakie wykorzystują w treningach trenerzy znanych zagranicznych klubów. W związku z chęcią poznawania tych systemów odbył kilka staży trenerskich w Holandii w znanych klubach piłkarskich, takich jak Ajax Amsterdam, PSV Eindhoven, NEC Nijmegen czy Twente Enschede. Uczestniczył również w wielu szkoleniach organizowanych przez Mazowiecki Związek Piłki Nożnej. Posiada uprawnienia trenerskie oraz szereg certyfikatów. Jest czynnym zawodnikiem FC Lesznowola.



Piłka nożna to jedna z najpopularniejszych dyscyplin sportu. Kilka miliardów sympatyków tej dyscypliny na świecie śledzi z wypiekami na twarzy dwudziestu dwóch zawodników, którzy usiłują umieścić piłkę w bramce przeciwnika. Tysiące kibiców przeżywa dramaty, gdy ich drużyna przegrywa, i szaleje z radości, gdy może wraz z drużyną świętować zwycięstwo.

Zaczęło się od pomysłu

Ponieważ ojciec i syn mieli tę samą pasję, postanowili stworzyć w gminie organizację, która tę pasję wykorzystywała. Będzie zrzeszała młodych i dorosłych pasjonatów piłki nożnej z terenu gminy. Pozwoli, żeby się rozwijali, współzawodniczyli. Żeby grali i bawili się piłką.

– Nasza Lesznowola to duża gmina. Rozwija się dynamicznie, mieszkańców przybywa, mieszkamy tu i dobrze by było, żebyśmy mieli własny, profesjonalny klub sportowy. Zebrało się paru entuzjastów piłki nożnej, pogadaliśmy i doszliśmy do wniosku, że trzeba zacząć w tym kierunku działać. Lesznowola musi mieć reprezentacyjny klub piłkarski.

Po przanalizowaniu wszystkich możliwości założenia klubu, udaliśmy się najpierw do władz gminy Lesznowola. Przedstawiliśmy nasz pomysł powołania stowarzyszenia, bo było oczywiste, że bez aprobaty urzędu, bez pomocy, bez zgody na używanie w znaku naszego stowarzyszenia logo gminy – pomysł pozostanie pomysłem.

Ku naszej radości władze gminy wyraziły aprobatę, a my zabraliśmy się do pracy. Krok po kroku, szczebel po szczeblu organizowaliśmy stowarzyszenie. Ogromne wsparcie i pomoc uzyskaliśmy od pani wójt Marii Jolanty Batyckiej-Wąsik i od Grzegorza Kwiatkowskiego, wówczas radnego i sołtysa Nowej Woli. Dzięki ich pomocy istniejące boisko w Nowej Woli zostało doprowadzone do stanu pozwalającego na prowadzenie na nim treningów i meczy w lidze MZPN. Powstały szatnie i natryski dla zawodników, żeby mieli się gdzie przebrać i umyć po ciężkich treningach.

Potem było już łatwiej. Powstała pierwsza drużyna seniorów. Zaczęliśmy od rozgrywek w lidze Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej i od pierwszego etapu, czyli od rozgrywek w klasie B. Zaczęliśmy się zmagać z innymi drużynami. W sezonie 2012/2013 awansowaliśmy



do kolejnej grupy wyższej, czyli klasy A, a w następnym roku, czyli 2013/2014, do ligi okręgowej.

Akademia Piłkarska

Ponieważ dobrze szło, poszliśmy za ciosem. Kamil wpadł na pomysł. Założyliśmy Akademię Piłkarską. Piłkarską szkółkę, w której gry w piłkę nożną będziemy uczyli dzieci i młodzież z myślą o przyszłej kadrze FC Lesznowola. Naszym wsparciem był obecny trener dzieciaków Mariusz Skalski.

Mariusz to doświadczony zawodnik piłki nożnej, grał nawet w reprezentacji Polski. Jest też doświadczonym trenerem, bo trenował małych piłkarzy w klubie, w którym był czynnym zawodnikiem.

– Jestem stąd – mówi Mariusz Skalski. – Przez 25 lat mieszkałem w Nowej Woli, potem się ożeniłem i przenieśliśmy do Lesznowoli. Kończyłem AWF w 2009 roku z tytułem magistra. W szkole w Nowej Iwicznej



...naszym celem jest wychowanie przez sport.

pracuję od 2007. Udało mi się po licencji dostać do szkoły i w trakcie pracy ukończyć studium magisterskie. Teraz mam nadzieję obronić tytuł nauczyciela dyplomowanego. Gram w drużynie seniorskiej. Jestem jednym z dwóch środkowych obrońców.

Latem trenujemy z dziećmi trzy razy w tygodniu na świeżym powietrzu (wtorek, czwartek, piątek). W każdy weekend jest mecz. Mamy pierwszeństwo, jeżeli chodzi o korzystanie z boisk trawiastych. W sumie cztery dni w tygodniu są zajęcia z piłką po półtorej godziny.

Dysponujemy dwoma boiskami w Nowej Woli. Jednym w pełni wymiarowym, dużym (105 m na 68, to są wymiary UEFA) i drugim, które powstało wiele lat temu. Na nim odbywają się treningi i niektóre mecze ligowe. To są boiska gminy, którymi zawiaduje Gminne Centrum Sportu. Jedno z nich ma oświetlenie, co jest ogromnym ułatwieniem w treningach w porze wiosennej i jesiennej.



Na początku, gdy w 2013 roku ogłosiliśmy nabór do Akademii, przyszło zaledwie kilku chłopców. Teraz mamy 7 grup i ponad 140 dzieciaków, w tym kilka dziewczynek. Nie mamy zespołu dziewczynek, ale te cztery grają z chłopcami i bardzo dobrze im to wychodzi. Najmłodszy nasi zawodnicy to 6-letni chłopcy, którzy bawią się piłką.

– Naszym wiodącym celem – mówi Jerzy Boguta – jest wychowanie przez sport. Eliminujemy z zachowania dzieci wszelką agresję w stosunku do innych, do siebie i do sędziów. Chcemy, żeby bawili się piłką, żeby trenowali poprzez zabawę i żeby osiągnęli rozwój fizyczny. Mamy trenerów, którzy są profesjonalni. Przeszli różnego rodzaju szkolenia, mają odpowiednie certyfikaty. Jest dużo ćwiczeń ruchowych, biegi i zajęcia sprawnościowe, tak żeby oprócz tego, że grają w piłkę, rozwijali się fizycznie.

Organizujemy turnieje dla najmłodszych roczników. W lecie jest to turniej pod patronatem platynowego sponsora ActiveJet-u, w zimie turniej mikołajkowy pod patronatem drugiego sponsora, czyli Alnor Wentylacje.

Zapraszamy na te turnieje drużyny nie tylko z regionu naszej gminy, ale również z Warszawy i innych miast. Bardzo chętnie do nas przyjeżdżają. Przy organizacji turniejów mamy zawsze wsparcie ze strony gminy i Gminnego Centrum Sportu w Mysiadle. Fundują różnego rodzaju puchary, medale, nagrody, które bardzo często wręczają dzieciakom pani wójt czy dyrektor centrum Rafał Skorek, a także przedstawiciele sponsorów, którzy przychodzą na nasze turniejowe rozgrywki. I to jest wsparcie, które nas umacnia i pozwala działać dalej, bo oznacza, że idziemy w dobrym kierunku.

Pod koniec sezonu letniego i zimowego organizujemy pikniki integracyjne dla całych rodzin. Połączone są one z wieloma zabawami i turniejami dla wszystkich: dzieci, rodziców i trenerów. Mamy strzelają, tatusiowie rozgrywają mecze między sobą lub grają ze swoimi dziećmi. Podczas zabawy wszyscy się poznają. Jest fajna rodzinna atmosfera.

W maju Stowarzyszenia Miłośników Piłki Nożnej FC Lesznowola będzie obchodziło piąte urodziny. Życzymy sukcesów. ■

Gorąco w środku zimy



Na Górkach Piaskowych w Magdalence, wieczorem 27 stycznia zapłonęło, ognisko. Dorota, Ela, Emilia, Marta, Radek, Paulina, Agnieszka, Iwona, Paweł, Marta, Patrycja, Zuzanna, Kasia, Ania, Wojtek, Krzysztof, Aneta i Edyta – to oni w ubiegłym roku stworzyli drużynę i uruchomili łańcuch ludzi, dzięki którym najbardziej potrzebujący otrzymali prezenty. Teraz, tak jak to mają już w zwyczaju, ponownie się spotkali. Ognisko rozpalil tata liderki „Szlachetnej Paczki” Anny Zdziarskiej.

Były kielbaski, pyszny smalec przygotowany przez tatę pani Ani i ogórki ukiszzone przez mamę. Były chleby z piekarni „Stenia” w Łazach i gorąca czekolada w termosach. Nie mogło zabraknąć też Doroty Panfil, która podczas grudniowej akcji przygotowywała pyszne pierogi, a teraz w żeliwnym kociołku grzała ugotowaną specjalnie grochówkę.

– Gdybyście wiedzieli, ile ja się naszukałam wędzonki z kością – mówiła pani Dorota, bo tylko ona wie, że bez wędzonki i kminku grochówka smakowałaby zupełnie inaczej.

Potem przyjechały quady i zaczął się kulig po lesie.



„Szlachetne paczki” już dawno powędrowały do adresatów. Opadły wzruszenia i emocje darczyńców, obdarowanych i wolontariuszy. Do wielu adresatów, a także do naszej redakcji wpłynęło zaproszenie na spotkanie przy ognisku.

„Styczeń jest dla nas czasem podsumowań i podziękowań... Chcemy się zatrzymać i ucieszyć z tego, co razem zrobiliśmy, a osiągnęliśmy naprawdę duuuużo” – napisali w zaproszeniu ci, bez których „Szlachetne paczki” nie trafiłyby tam, gdzie powinny.

„Tym razem spotkanie będzie inne i wyjątkowe. Będzie okazją do integracji i świętowania wspólnych sukcesów XVI edycji „Szlachetnej Paczki” w rejonie Lesznowoli.”



„Szlachetna Paczka” integruje nie tylko na czas jej akcji. Wokół ogniska zebrali się ci, którzy dobrze się czują ze sobą i dobrze się czują, kiedy pomagają. Wszyscy mają pewność, że w przyszłym roku ognisko znowu zapłonie. Oni przy nim będą. Bo jak mówiła liderka grupy, im więcej osób pomaga, tym więcej pomoc uzyskuje. ■

Czeko, czeko, czekolada

W życiu pada wiele pytań, na które czekolada przynosi odpowiedź – mówiła Nigella Lawson, brytyjska dziennikarka, autorka książek i programów kulinarnych. Nie ma chyba drugiego produktu, który cieszyłby się tak powszechnym uwielbieniem. Podobno dziewięć na dziesięć osób lubi czekoladę, przy czym ta dziesiąta zawsze kłamie. wszyscy, którzy w tym roku przygotowywali.

W zapachu gorącej czekolady można znaleźć prawdziwe ukojenie, odnaleźć wspomnienia dzieciństwa i poczucie bezpieczeństwa. Czekolada poprawia nastrój i ofiaruje czystą przyjemność.

Jej zwolennicy do długiej listy czekoladowych zalet dodają jeszcze poprawę przemiany materii, pozytywny wpływ na serce, ochronę przed nowotworami i właściwości łagodzące ból. Ale nawet gdyby nie posiadała tych zalet, i tak trudno byłoby z niej zrezygnować.

Po czekoladę sięga się dla jej smaku.

W lutym, kiedy wiosna tuż tuż, a w kalendarzu wciąż zima, nie ma nic lepszego niż gorący kubek brązowego napoju.

W poczuciu, że przecież każdy z nas zasługuje na chwilę zapomnienia, sięgajmy po czekoladową przyjemność! Tak podobno smakuje niebo.

CZEKOLADA NA GORĄCO Z CHILI I CYNAMONEM

SKŁADNIKI

250 ml mleka, 2 łyżki cukru, 5 łyżek śmietanki kremowej 30%, 1/3 łyżeczki mielonego chili, 1/3 łyżeczki mielonego cynamonu, 50g gorzkiej lub półśłodkiej czekolady

Do rondelka wlej mleko i śmietankę. Dodaj cukier, chili i cynamon. Wszystko podgrzej i mieszając od czasu do czasu poczekaj, aż mleko zacznie się gotować przy brzegach rondelka. Teraz dodaj posiekaną na małe kawałeczki czekoladę. I mieszaj, dopóki się nie rozpuści, a napój stanie się gładki i kremowy. Gorącą czekoladę podawaj w małych filiżankach. Dodatkowo na wierzchu możesz udekorować bitą śmietaną obsypaną niewielką ilością chili lub cynamonem.





**CIASTO
CZEKOLADOWE
Z WIŚNIAMI
I CZEKOLADOWYM
KREMEM**

SKŁADNIKI

Składniki na biszkopt: 150 g maki, 3 jajka, 180 g cukru, 1 łyżka proszku do pieczenia, 30 g kakao

Wiśnie: mogą być świeże lub z syropu, zalane wódką wymieszaną z sokiem wiśniowym lub wiśniówką i odstawione na dwa dni do lodówki

Krem czekoladowy: 3/4 szklanki mleka, budyń czekoladowy, 200 g ubitej na sztywno kremówki, 50 g roztopionej czekolady

Najpierw ciasto – jajka ubij z cukrem. Stopniowo dodawaj do nich po łyżce mąki wymieszanej z kakao i proszkiem do pieczenia. Wszystko wymieszaj. Wylej na blachę i piecz przez ok. 15 minut w temperaturze 175 stopni. Kiedy biszkopt przestygnie, nasącz go sokiem wiśniowym lub delikatnie wiśniówką.

Do przekładania warstw biszkoptu użyj kremu. Aby go przygotować, ugotuj budyń i przestudź go. Teraz dodawaj po łyżce kremówki, cały czas mieszając. Na koniec wlej roztopioną czekoladę, uważając, by masa nie wyszła za rzadka.

Biszkopt przekrój na trzy albo na dwie części. Przekładaj kremem i wiśniami. Zostaw trochę kremu i wysmaruj nim wierzch. Całość posyp czekoladowymi wiórkami.



**CZEKOLADA
DO CHRUPANIA**

SKŁADNIKI

1/4 szklanki migdałów, 1/4 szklanki orzechów laskowych, 1 łyżka niesolonych i obranych pistacji, 2 łyżki oleju kokosowego, 3 łyżki ciemnego kakao bez cukru, 1/2 szklanki syropu klonowego, 1/2 szklanki dmuchanego amarantusa

Piekarnik nagrzej do 180 stopni. Na blachę wysyp migdały i orzechy i wstaw na 10 minut do piekarnika. Uważaj, żeby się nie przypaliły. W połowie tego czasu przemieszaj bakalie. Po 10 minutach wyjmij z piekarnika. Przełóż orzechy laskowe na ściereczkę. Zawij i mocno powycieraj. W ten sposób pozbędziesz się części skórki. Kiedy orzechy przestygną, pokrój je na dowolnej wielkości kawałki.

W garnku rozpuść olej kokosowy, syrop klonowy i kakao. Dokładnie wymieszaj na jednolitą masę. Przygotuj blachę na czekoladę. Wyłóż ją papierem do pieczenia. Wysyp równomiernie orzechy, pistacje i nasiona amarantusa. Zalej wszystko czekoladą. Poczekaj, aż przestygnie i wstaw do zamrażalnika na przynajmniej godzinę. Kiedy zastygnie, podziel na dowolne kawałki i... smacznego.

**CZEKOLADOWE
MUFFINY Z KAWAŁKAMI
CZEKOLADY**

SKŁADNIKI

150 g czekolady, 300 g mąki pszennej, 150 g masła, 2 łyżeczki proszku do pieczenia, 2 łyżki kakao, 1/2 łyżeczki sody, niecała szklanka cukru, 2 jajka, 170 ml mleka, 1 łyżka cukru wanilinowego

Masło roztop i odstaw do wystygnięcia. Do miski dodaj mąkę, kakao, sodę, proszek do pieczenia, cukier i cukier wanilinowy. Wszystko wymieszaj. Kiedy masło przestygnie, dodaj do niego jajka i zmiksuj. Potem przelej do miski z suchymi składnikami. Czekoladę pokrój na małe kawałeczki. Dodaj do miski i wszystko razem delikatnie wymieszaj. Masę przełóż do specjalnych foremek na muffiny albo papilotek. Do rozgrzanego do temperatury 190 stopni piekarnika wstaw na ok. 20 minut. Kiedy ciasteczka urosną, a na wierzchu powstanie skorupka, wyjmij z piekarnika.

